



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół. kwartal. 5 marek.

ZŁOTA KSIĄŻECZKA Papieża Leona XIII.

Każdy z nas, choćby najbardziej światowy, ma przecież w sobie człowieka duchowego, zakonika, któremu zmysły, warunki doczesne, codzienna walka, ciągle pokusy bywają twardym do wytrzymania zakonem; ma w sobie wyznawcę prawd zasadniczych, których nie zawsze śmie bronić śmiało przed światem, ale które czuje: ma pustelnika w sobie, który znużony gwarem i szarpaniną ludzką, radby się gdzieś ukryć w miejsce ciche, jasne i zdrowe, gdzieby tylko był sam ze sobą i z Bogiem i odetchnął pełniejszą pierś, prostsza myślą i otwartym sercem; każdy z nas ma tę duszę nieśmiertelną, która się w ziemskim pyłe zagrzebać nie da i wstaje jak fenix z doczesnego zgliszcza.

Na pomoc temu ludzkiemu duchowi biegli zawsze wielcy ludzie ducha, natchnieni prorocy, przetrwani w własnych doświadczeniach święci i światli kierownicy chrześcijańskiej rzeszy. Na pomoc tej duszy wojującej na ziemi, jako ojcowskie pogotowie ratunkowe, wysłał, obecnie panujący Papież Leon XIII swoją „Złotą książeczkę o praktyce pokory“ — książeczkę nie tylko istotnie złotą, ale słoneczną, pełną dnia, jasnej prawdy, wielkiej energii, sprawiedliwej surowości, książeczkę tak ogólno-swiatową, że cały glob przyjąć ją może i zrozumieć, a tak wprost przemawiającą do jednostki człowieka, że czytelnik ze zdumieniem nieraz woła, przebiegając te kartki pasterskich upomnień: Zkąd Ojciec św. mnie tak dobrze zna? Zkąd wie o tem, o tamtem,

w duszy mej ukrytem? jakim sposobem umie mówić tak wprost do mnie, tak wyjątkowo własnie dla mnie! Dla czego i zkąd? Bo widać nie tylko dewizą Leona XIII jako Papieża jest „światłość światłości“, ale jest to już charakterystyka jego indywidualizmu — jasny wzrok na wszystko, i wszczegółowo, i wgląd ducha, i na wysokość idei i na poziom nędznej duszy grzesznika, i w bezdeń dogmatu — i w tajniki cierpień najprostoduszniejszego serca.

Ta mała książeczkę, za ledwie 74 stronic licząca, ma jednak moc wielką, jakies poważne „urbi et orbi“ wieje od niej, a sposób, w jaki nawet najostrzejsze mówi prawdy, najnieublaganiej odsłania nasze błędy, zboczenia i upadki, jest taki spokojny, prosty i estetyczny, że istotnie, gdyby na całym świecie tak napominano tych, którzy błądzą, nawracających się byłoby coraz więcej. Słowa leca tam czasem jako grom, ale grom nie suchy, nie ciemny, nie tępy, poniżający winnego, ale zawsze poprzedzony błyskawicą ciepłego światła, które bije grzesznika nie w hardy kark jego, ale w sumienie, w uczucie, w to co najwrażliwsze na dobre słowo i na niewymowny urok jaki ma w sobie miłosierdzie. I myślałby kto, że ta potężna książeczkę uczy rzeczy nadzwyczajnych, wzniosłych, mówi o cudownych natchnieniach, widzeniach, nagłych ducha przewrotach, o wyżynach cnót niecodziennych i nadprzyrodzonych? Nie. Tam jest tylko mowa o pokorze, o niczem więcej. „Bo żeby stać się wielkim, potrzeba zacząć od znizienia się. Zamysłasz wznieść budynek cnót chrześcijańskich, wiedz o tem, że jest on bardzo wysoki, pamiętaj więc naprzód, abys założył dziś głęboki fundament — pokory; kto bowiem chce budować, zakłada najpierw fundament w stosunku do wysokości i masy budynku, który wznieść zamierzył.“ Dostojny autor wszystkie cnoty, wszystkie ducha ludzkiego potęgi i władze i przymioty buduje przed oczyma czytelnika na — pokorze, a czyni to mądrze, zaj-

mując i — zachęcająco, nie przedstawiając te może najcichszej a najtrudniejszej rzeczy, jaką jest pokora, ani za trudnej do wykonania, ani za przykrej, a owszem przynoszącej owoce swobody ducha i wielkiego spokoju wewnętrznego.

Książeczkę ta napisaną została na przedwiekowym wzorze, skreślonym „O enocie pokory“ przez generała zakonu Cystersów, Dom Sans'a od św. Katarzyny, Francuza, który żył przy końcu XVI-go wieku, i ułożył to dziełko dla swych braci zakonnych. Około r. 1626 wydano je z małemi zmianami dla użytku wiernych, tłumaczeń i wydań doczekało się do dni naszych około 140, ale tak, jak je opracował i wydał po włosku, włożywszy weń swego ducha i ład Papieża Leon XIII, wychodzi w polskim przekładzie poraz pierwszy. Ojciec święty pracował nad „Złotą książeczką“ jeszcze jako biskup w Perugii i zalecił ją wówczas gorąco uczniom swego seminarium, swym duchowym synom, którzy się mieli rozjeść po świecie, dla niesienia światła i prawdy. My wszyscy, którzy tę książeczkę czytamy, jesteśmy niejako duchowemi dziećmi jej Twórcy i za jej pomocą, każdy w swoim zakresie, roznosić możemy prawdę i dobry przykład chrześcijańskiego zaparcia się siebie. Bardzoby nam się przydało wziąć bliżej do serca taką missyę, nam, którzy, wyznajmy szczerze, roznosimy między sobą najczęściej — niepokój, złe wieści, rozjątrzenie, pychę, próżność i plotki.

Na tę „Złotą książeczkę“ zwracam szczególną uwagę — matkom, mającym dorastających synów i córki. Znajdą w niej doskonałe rady dla umocnienia w dobrem swych dzieci, zanim one wstąpią na szerokie, burzliwe, pełne pokus i złudzeń szlaki swoich przeznaczeń. Wy, młodzi ludzie, nauczycie się z niej nie zazdrościć drugim powodzenia, szczęścia do ludzi, obfitych zwycięstw losu, a z drugiej strony, „kiedy będzie potrzeba bronić prawdy, występujcie z odwagą, ale bez uniesienia i goryczy, i bądźcie pewni, że

obronicie ją lepiej słodyczą, niż gwałtownością i gniewem.“ Wy, młode panny, które wstępujecie w świat zabaw i rozrywek tak pewne siebie, swej urody, wrażenia, jakie uczynicie, tak żądne holdów, pierwszeństwa, odznaczenia, błyszczenia, z głową nabitą chmurą próżnostek, a sercem pełnem miłości własnej,—rozchylcie kartki złotej książeczki, tam znajdziecie wprost jakby do was wypowiedziane słowa: „Otwórzcie oczy dusz waszych i zobaczcie, że sami z siebie nie macie nic dobrego, z czegobyście mogli mieć powód do uważania siebie za coś. Myślcie często o tem, jaka jest wasza niemoc, jakie zaślepienie, jaka nieczułość serca, jaka niestałość, jaka oziębłość dla Boga, a jakie przywiązanie do stworzeń, jakie mnóstwo wad, któremi napełniona jest wasza natura!“— I wy, ludzie bogaci, utytułowani, na stanowiskach wybitnych stojący, a pyszni i nieprzystępni dla bliźnich, usłyszycie z tego źródła wzywający was głos do miłości bliźniego i do dawania coś drugiem ze siebie samych. „Ze wszelkiem staraniem i ze wszelką uwagą unikajcie słów, w którychby czuć było wyniosłość, dumę i chęć okazania wyższości; nie mówcie nigdy o sobie bez słusznego powodu; w rozmowach unikajcie słów uszczypliwych i szyderczych; z całej mocy powstrzymujcie próżną i nieużyteczną ciekawość; bądźcie surowymi sędziami swoich uczynków; czuwajcie bardzo nad tem, byście nikogo nie zasmucali, choćby też był daleko niższym od was, i to ani słowem, ani uczynkiem, ani sposobem obchodzenia się z nim; jeżeli wam się zdarzy sposobność oddania jakiej usługi niskiej i odrażającej, uczynicie to z radością i z całą pokorą, jakabyście mieć powinni, gdybyście byli sługami wszystkich: przez taką praktykę zbierzecie sobie skarby niezmiernie cnót i łask.“

Ileż najróżnorodniejszych stosunków ludzkich, stanów ducha, poruszeń serca, wybryków woli, rozmachów wyobraźni, pożądań zmysłów, podstępów pychy, roztrząsa ta książeczka, i ileż tam rosy ożywczej, trzeźwej i jasnej spływa na zwiędłe sumień kielichy, ile manny żywotnej, treściwej, posilnej spada na puste, próżne, oschłe, pyszne, a marne umysły światowców. Jest to rodzaj generalnej spowiedzi ludzkości, roztrząsanie sumienia społecznego, rozmotywanie prawdy psychicznej, którą podstępni węzłami poplątała, podarła, powichrzyła—pycha. Starzec i młodzieniec, kobieta i bohater, nędzarz i władzca, nieuczony i mędrzec, człowiek niespokojny i człowiek ospały, wszyscy tam znajdują dla siebie słowo, radę, przestrożę, nagane, zachętę, karę i pobudkę, sprawiedliwość i pociechę, z warunkiem jednak, jeżeli tę „złotą książeczkę o pokorze“ będą czytali — z pokorą, z uwagą nie dla drugich, ale—dla siebie samych.

Tłómaczenia dziełka dokonał ks. Józef Hube, doktor św. teologii, ze zgromadzenia Zmartwychwstańców, a uzupełnił przykładami z Ojców kościoła ks. Józef Krukowski, dr. św. teologii, proboszcz kościoła św. Floryana w Krakowie. Książeczka wydana jest bardzo starannie, na pięknym papierze, z ozdobami czerwonemi w druku, nakładem księgarni Orgelbranda i Machwity w Warszawie (1898 r.)

W obec kończącego się wieku, dobrzeby nam było uczynić stuletni rachunek sumienia z tą „Złotą książeczką“ w rękę; obliczyć wszystkie pokusy, błędy i usiłowania i starcia poprzedników naszych i własne; rozejrzeć się w naszych dziedzicznych i osobistych ciemnościach; w naszych chęciach, zamiarach, natchnieniach i uczynkach; w stosunku naszej siły do użytecznego działania, w stosunku tego, co byśmy czynić mogli a co czynimy, czembyśmy być powinni, a czem jesteśmy? Rozejrzawszy się w tym świecie naszym wewnętrznym, zobaczylibyśmy z ubolewaniem, a może z przerażeniem, że wnosimy do nowej ery wiele rzeczy niedokończonych, wiele dróg krętych, wiele prawd zmylnych, wiele uczuć spaczonych, wiele spopielenych ideałów a zgaszonych ognisk ducha i że nie odrobimy tego całego zadania, bez potężnej siły zwalczania pokorą własnej pychy, bez zaparcia się siebie, czynienia wszystkiego istotnie

wzajemnie jedni dla drugich, dla wspólnego postępu na szerokim szlaku dobra, obowiązku i sprawiedliwości.

Szczęсна.

NA WERENDZIE. (POGAWĘDKA).

Mówią, że—poetyza, śpiew i muzyka, są to trzy siostrzyce rodzone. Zrodziły się z uczucia i na uczucie najbardziej oddziałują; przemawiają i do rozumu czasami, ale on zrazu, jak maruder, za sercem idzie i dopiero, gdy serce nasyci się pięknościami poezji, śpiewu i muzyki—zasiada na krzesle sędziowskiem. Z tych trzech siostrzyce rodzonych, dwie ostatnie bezpośrednio przemawiają do uczucia, najszybsze zyskują uznanie i dla tej przyczyny mistrze głosu i tonów nie tylko przy grzmocie oklasków przez świat przechodzą, nie tylko pod ich stopy syją się kwiaty jak z rogu obfitości, ale prawie zawsze z oklaskami i kwiatami złoto zbierają. To szybkie dościsie do laurów i fortuny, do zapoznania siebie ze światem całym, ma jeszcze inną ważną przyczynę, która leży w kosmopolityzmie sztuk uprawianych przez nich. Dość mieć wyrobione uczucie i siuch, ażeby każde serce, bez względu czy w piersi niemca, czy francuza uderza, zrozumiało posępne piękno marsza pogrzebowego Szopena, wykonane mistrzowsko przez Paderewskiego, czy Michałowskiego, albo nie było obojętne na słowicze dźwięki panny Kruszelnickiej. I oto ich sława rośnie szybko, szybko, a wraz z tym rozgłosem i—pieniądz, ta główna podstawa bytu każdej jednostki.

Inaczej się ma z najstarszą siostrzą, którą bóstwo obdarzyło stokroć szcudrzej, która jednak prawie nigdy nie przechodzi przez życie wśród świata oklasków, a jeżeli wybrańcowi swojemu da liść wawrzynu na czoło, nie da mu nigdy—mamony. Ale i ten wawrzyn jest zawsze z cierniowemi kolcami spleciony — a nieraz na niego zasłużyć życiem całym potrzeba, a nieraz i to ziemskie, najdłuższe życie nie wystarcza, dopiero gdy stanie grób — rośnie sława, rośnie wielkość, kuja granity i marmury — na pomnik chwały. Co powie grób, co poza grobem wyrośnie, nie powinni się o to troszczyć żyjący, byleby spełniali to, co do nich należy, byleby nie skłamałi prawdzie wiekuistej, wiekuistemu dobru i pięknu; a choć to życie idzie po grudzie, choć ani kwiecica, ani wawrzynów nie daje,—jest jednak w niem cicha pociecha, a doprawdy, że równoznacząca prawie z głośnemi oznakami uznania. Ot, znam sobie jednego człowieka, który duszą i sercem zaprzedał się siostrzyce, noszącej miano—poezji. I śpiewał tak, jak ptaszek śpiewa, to jest śpiewał, bo nie mógł nie śpiewać. Nie było więc w tem żadnej jego zasługi, a jeżeli była, to ta chyba, że z piersi wydobywał głosu zawsze czystego, że—jeżeli miał słuchaczy, to wrok ich odrywał od pyłu ziemi i wzywał, choć do chwilowej kąpieli—w błękitach. Ale — jeśli był słuchany, jakim tętnem były w piersiach ludzkich serca, jakie myśli krążyły w głowach ludzkich, czy siew był umiejętnie rzucony — o tem nie wiedział, nie marzył zaś ani o przedgrobowej, ani o pozagrobowej sławie. A jeżeli chciał choć odrobinę pamięci, jeżeli chciał choć w kilku sercach tylko jasnymi zapisać się zgłoskami, toć nie grzech, to zwykłe pragnienie człowieka. I dalibóg—znam go dobrze, więc — dalibóg, powtarzam, że nieraz miał myśli smutne, iż głos jego bez echa zginie, że rzucane ziarno zmarnieje, że przez to życie przejdzie jak cień znikomy, jak duch niewołany przez nikogo. Aż oto—nie myślcie, że o głośnych fanfarach tu mówić będę.... tych nie było i nie ma, a zagadek przyszłości nie jestem zdolny rozwiązywać,—aż oto, zblizka i zdaleka zaczęły do niego nadchodzić listy z podziękowaniem za siew dobry, który rzucał, za

czystość pieśni, nawet za chwile rozkoszy wielkiej, jakiej doznawali ci, o których on nie a nie nie wiedział. I powiększała się wciąż ta liczba listów, które on chował w sekrecie przed najbliższymi nawet, a choć głośnych oklasków nie miał i kwiatów nie miał, myślał jednak: to moje wawrzyny!... i choć złota nie miał, myślał: to moje złoto! A jak się sypie liść jesienny spokojnie, cicho, tak te się listy sypały, aż jeden — do łez go poruszył, tak że o nim już wspomnieć musiał przed ludźmi... Był to list, jak inne, z wyrazami podziękowania — za myśli zacne, ale ręka, która te słowa kreśliła, dodała jeszcze słów parę — bardzo smutnych. Autorka listu od paru lat walczy z chorobą piersiową i marzy już tylko o bluszczu na grobowym kamieniu, którego jej nie odmówią mąż i syn.. „W obec tego — pisze — korzystam z czasu, jaki mi jeszcze pozostaje i wyrównuję długi wszelkie, a więc i serdeczne. Do tych załączam i cichą moją wdzięczność dla pana, której wypowiedzenie sprawia mi wielką przyjemność.“ A wdzięczność ta „za zacne myśli,“ za „przyjemne chwile,“ jakie znalazła w pracach poety.

Ten list, dziwnie spokojny a piękny, w chwilach złych przeczuć pisany, jest błogosławieństwem przesłanem białym myślom poety. Jest więc najmiłszym z listów — i oto upoważniony zostałem do zaniesienia w tem miejscu, Tobie, Pani — podziękuję serdecznej. „Napisz — tak mi powiedziano — że nad oklaski grzmiące, nad złoto świecające — najmiłszem mi jest to ciche uznanie. Dziś wiem, że „nie napróżno sterał swoje lata młode,“ wiem, że są serca, które odpowiedziały drgnięciu mojego serca, są dusze, które mnie odczuły i myśli, które mnie zrozumiały.“

I jeszcze kazano mi to napisać:

„Mam przeczucie, że nie „na Marsie, ale tu jeszcze na ziemi spotkam się z Tobą.“

Uczyniwszy zadość woli poety, — wracam do suchej kroniki, która jest podobną do gałązki akacji w jesieni, z której liść po liściu wiatr ostry obrywa, tak, że nieraz naga tylko łodyga zostaje.

Gdy wiosna jest na ziemi, powinna być wiosna i w sercach ludzi.

Nie wszyscy jednak ją odczuwają, nie wszyscy ją odczuć mogą.

Nie wiem dla czego, ale za lat moich młodzieńczych inaczej nieco było. Nie dziw, że na ustach dziecka uśmiech radości wykwił, że ogniem błyskały żrenice młodzieńca, ale głowy siwe ojców i dziadków, ku piersi jesienią i zimą pochylone, z najpierwszym błyskiem wiosennego słońca unosiły się ku górze, a oczy szukały jakichś znaków na niebie, które wiosna przyniesie im miała, niech tylko skowronki odezwą się, niech tylko bociany przylecą, niech tylko ostatnia cienka, szara powłoka śnieżna zejdzie z ziemi. Teraz, stokroć młodszy, nie oczekują skowronków, nie wodzą oczyma za kluczami żórawianemi, ani uśmiechu wesela na twarzach ich dostrzedz nie można. Dawniej starzy młodnieli, a dzisiaj starzeją młodzi—czy nie tak? Mówią, że ludzie dzisiaj dojrzewają prędzej, że wpływa na to rozwój wiedzy i wcześniejsze zapoznanie się z życiem.

Być może—ale czy tak lepiej?

Przypominam sobie słowa Trentowskiego, który w „Chowannie“ powiedział był: że nie chciałby widzieć, geniusza nawet, który w sile młodości będąc, miałby pierś zapadłą, a ciężko dyszał, po schodach na trzecie piętro idąc. Jakkolwiek do geniuszów, którzy na kamieniu się nie rodzą inną całkiem miarę przykładamy, mimo to nie możemy zaprzeczyć doskonałości zdania filozofa naszego, a *nota bene*, gdy widzimy codziennie niemal *nie genjuszów*, o blasku oczu przygasłych i piersiach zapadniętych — chcemy wprost wołać o ratunek dla tego pokolenia karlejącego.

Nie przeczymy, że na rozwój fizyczny dzieci naszych źle wpływa nadmierne przeciążenie ich umysłu naukami—ale, gdy bez tej nauki dzisiaj już w żaden sposób obejść się nie możemy, gdy ona jest podstawą wszystkiego, bo i dobrobyt i znaczenie wśród ludzi daje: potrzeba umiejętnie pogodzić rozwój sił fizycznych z tym koniecznym ładunkiem umysłowym. Mówiąc o tem, każdy z nas ma na myśli ćwiczenia gimnastycz-

ne, ale wiemy dobrze, że dobrze urządzona szkoła pozostaje jeszcze w granicach pragnień po- bożnych, że nasze zakłady naukowe są zazwy- czaj w zacisniętych budynkach pomieszczone, że w chwilach *paуз* tak nazwanych, dźwięka z ha- lasem tłoczy się w korytarzach wązkich albo wybiega na źle brukowany dziedziniec, na któ- rym jednego drzewka, jednego krzewu niema, zabudowany zaś szczerze dookoła, pożądaną czy- stością a świeżością powietrza się nie odznacza. Ażeby w tym kierunku reformy poczynić, na to potrzeba lat i ogromnego nakładu pieniędzy; w Warszawie zaś, której gospodarstwo odczuwa się przedewszystkiem ogołoconiem jej z ogro- dów, w które, tak niedawno nawet, obfitowała— wspomniane przez nas wyżej udoskonalenia są prawie już niemożliwością. Ostatnie wiadomo- ści dziennikarskie mówią nam wprawdzie, że zarząd miasta myśli o zaradzeniu złemu; że ko- niecznie potrzeba ogrodów większych i więcej niż mamy i w tym to celu jakoby rozpoczęły się pertraktacje o kupno Rakowca, oddalonego od Warszawy—o dwie wiorsty, i na tem to teyto- ryum ma być duży a piękny park założony— z czasem. Zapewne, potrzeba o Rakowcu dziś myśleć, potrzeba na to kupno do półtora miliona rubli wydać, a tymczasem, tak niedawno, bo lat parę zaledwie, w śródmieściu prawie przesłizny ogród Kronenbergów zdawał się sam przema- wiać: kupcie mnie! Nie kupiono, powstała nowa ulica, na której piękne stanęły domy, odznaczają- cę się jak mówią,—wilgocią.

Lecz park, choć w Rakowcu mieć będziemy— z czasem—natomiast nie możemy marzyć na- wet, ażeby zakłady naukowe kiedykolwiek bądź znalazły się w otoczeniu zieleni, chyba się tako- we do Rakowca wyniosą. Na ten zbytek najle- psza już administracja nie pomoże, bośmy sami powycinali drzewka, poniszczyli ogródki a spe- kulacja pobudowała wilgotne kamienice, za lo- kale naznaczając ceny skromne: trzy pokoje rb. 500, cztery—700, pięć—1,000 i t. d. Gdy więc z musu musimy mieć ciasne i niewygodne mie- szkania, gdy niema dobrze urządzonych szkół gimnastycznych, gdy zakłady naukowe mieszczą się, także z musu, w budynkach ogołoconych z drzew i ogrodów, gdy dzieci nasze uczyc się muszą i łamać sobie główki nad greczyzną i łaci- ną—co robić mamy, ażeby te pociechy nasze ochronić od chorób przedwczesnych, nie dozwo- lić, by rumieńce na twarzy pobladły a piersi wpa- dły?

Nasze zdanie, w danym wypadku, zawiera się w tych słowach: *nie przeladowywać dzieci zbyt wczes- nie naukami.*

Wytłomaczmy się.

Niektórzy rodzice mają sobie za punkt hono- ru, ażeby dzieciak ich, jakkolwiek tego gimna- zyalnego nie wymagają nawet prawa—jak naj- wczesniej rozpoczął nauki i choćby do wstępnej klasy wstąpił. I oto nie rzadko się zdarza, że młodzieniec, ośmastoletni zaledwie, już jest na pierwszym kursie uniwersytetu. Pan Bóg mu dał zdolności, chęć do pracy, poczucie obowią- zku, więc się od lat dziecinnych przykładal, uczył, niedospał, niedojadł nie raz, ale rok rocznie z klasy do klasy przechodził, niejednokrotnie nawet pochwalil się przed rodzicami nagrodą pierwszą. I wszystko dobrze; tylko—młody mędrzec, jak trzaseczka wygląda, tylko—we wzroście się czegoś zatrzymał, tylko—oczy pa- trzą jakimś blaskiem mętnym zamiast sypać snopy piorunowe, a ręka—ba! nie tylko szablicy ojcom nie dźwignie, ale znużoną się czuje, przy- lada wysiłku.

Przed kilku dniami spotkałem się ze znajomą swoją, panią N., na jednej z ulic Warszawy.

— Dzień dobry, pani.

— Dzień dobry, panu.

— Dokąd pani tak śpieszy?

— Ach! panie, co ja mam kłopotu z umie- szczeniem mojego dziecka w gimnazjum. Mąż wyjechał, mnie zaś na barki włożył, staranie się o to. Chcę ażeby go teraz przypuszczono do egzaminu, przygotowany jest doskonale, płacili- śmy korepetytorowi 30 rb. miesięcznie—wy- wiązał się z przyjętego obowiązku wybornie, te-

raz tylko idzie o załatwienie pewnych potrze- bnych formalności.

Znałem dobrze państwa N. znałem ich dzieci, lecz nie przypuszczałem, ażeby który z chłop- ków do lat nauki już dorósł.

— Więc pani ma syna, któryby mógł już do gimnazjum wstąpić?—spytałem,

— A Staś?

— Staś... wieleż pani mu lat liczy?

— Dziewięć skończy jesienią. Ale—dodała z dumą,—przygotowany jest wybornie. Z po- czątku, jak zwykle dziecko, nie bardzo się chciał brać do nauki, potrzeba było nawet niewielkie- go przymusu użyć—ale następnie nałamał się do pracy i, gdyby pozwalało prawo gimnazyal- ne, oddałabym go do klasy wyższej nawet.

— Znam pani Stasia, ależ to jest chucherko!

— To prawda—lecz przecie uczyć się musi!

— Co wy robicie, co wy robicie?—odpowie- działem.

— Żle?—spytała.

— Żle bardzo...

— Dobrze panu mówić, który nie masz. Ach— przeproszam! pan masz dwóch synów.

— Z których naukami nie śpieszyłem się wca- le,—dodałem,—Do lat jedenastu używali właści- wej ich wiekowi swobody, wyrabiali się fizycz- nie, całymi dniami hulali w ogrodach i hukali co sił ich piersiom starczyła; nie zabawa była roz- rywką po nauce, lecz rozrywką była nauka po zabawie. Nie oddawałem żadnego z nich do szkół wstępnych, ażeby, o ile można najdłużej pod okiem rodzicielskim pozostawali. W ciągu jednego roku z latwością przygotowali się do klasy drugiej, bez najmniejszego nadwężenia sił fizycznych—i—oto, jak pani wie, syn mój starszy jest już studentem na czwartym kursie medycyny, młodszy w klasie trzeciej. Uczą się dobrze, ale spójrz pani na starszego—chłop jak dąb, młodszy także, choć niby szczerpło wy- gląda, ale patrzy rumieńcem zdrowia. Dziś już niełatwo którykolwiek z nich chorobie się pod- da, bo ochraniałem ich od chorób w latach roz- woju. A powiem pani otwarcie, że nie lekce- ważym tym zdrowiem fizycznym, bo od niego i długość życia i szczęście życia zależy, o ile oczywiście zewnętrzne okoliczności pozwolą. Ale, człowiek cieszący się tem fizycznym zdrowiem, łatwiej ból każdy, zawód każdy przeniesie. Ró- wnowaga powinna być we wszystkim, my zaś ciągle z niej wychodzimy.

Na ten temat prowadziliśmy rozmowę—i—zda- je mi się, że pani N. została przekonaną. Niech jej duma, jak i was wszystkich, rodzice! nie ucierpi, że synowie wasi, jako dojrzałi już mło- dzieńcy, nie dzieci, opuszczą gmach uniwersytec- ki. Zechciejcie zrozumieć, że w przyrodzie całej jest jedno tylko prawo rozwoju, że człowiek jest taką samą rośliną, jak ta, którą w doniczkach u siebie hodujecie. Czy nie pielęgnujecie jej starannie? Czy nie uchraniacie od zimna lub słońca zbytniego? Czyniecie to wszystko dopóki się nie wkorzeni, nie wzmocni i nie stanie się odporną na wszelkie przypadki zewnętrzne. Tak samo i z dziećmi waszemi postępujcie. Ze wzmocnieniem sił fizycznych wzmocnicie i siłę ducha. Jeżeli które z nich, ma być geniuszem—ku temu przeszkodą nie staną zdrowe piersi, mięśnie silne, i barki rozrosłe. Lecz geniusza uczynić nie w waszej jest mocy. Wy tylko zwa- żajcie na to, by miał nerwy nie nadszarpane, trawienie dobre, płuca oddychające swobodnie— a reszta będzie im dana. Przedwcześnie więc z naukami nie śpieszcie—przy zdrowiu przejdą one łatwo, mózg zaś dobrze krwią odżywiany, bez szkody przeniesie balast naukowy.

Przed parą tygodniami zostaliśmy boleśnie dotknięci wiadomością o śmierci ś. p. Aleksan- dry Glogierowej, żony Zygmunta, znanego uczo- nego i badacza na polu archeologii; dotknięci zo- staliśmy tem boleśniej, że dawne stosunki przy- jaźni łączyły nas z domem Glogierów i że zna- liśmy dobrze wartość tej czystej duszy, której śmierć była anielskim odlotem w krainy niezma- czonego już może szczęścia. Ś. p. Aleksandra nie- tylko nieutulony żal pozostawiła w sercu męża, dzieci i przyjaciół, ale tę stratę odczuł i lud wie- ski, którego była opiekunką, doradczynią, zacną

przewodniczką w rzeczach wzniosłych. Tem krótkim wspomnieniem oddajemy hołd pamięci umarłej i wiemy, że lekką jej będzie ziemia ro- dzinna, którą ukochała swem sercem zacnem.

??

Piotr Gmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg).

Ponieważ Brodziński pisał swą rozprawę z po- wodu artykułu o Mickiewiczu, niepodobna mu było pominąć zdania o samym poecie. Oddając należyty szacunek jego talentowi, pisał: „Boli go zapewne, że plody jego mają otworzyć źródło podobnym zdaniom o sztuce, że je niektórzy tak czynią podejrzanemi, iż mówią: nie patrz, nie sądź, ale tylko wierz na nasze słowo, że to wszystko jest cudowne, piękne i t. p. Nie stron- nictwa, ale całej publiczności poklasków życzę p. Mickiewiczowi... Dla tego narodu poświęcił p. Mickiewicz piękne swoje uczucia i nie zwa- żając na ludzkie odgłosy, ku doskonałości sam postępować będzie. Coraz zapewne więcej pre- konywać się zacznie, że do hojnych darów natu- ry potrzeba łączyć sztukę, która sama jest wła- snością człowieka i która prawdziwego poetę stanowi, że poeta nie jest ślepem narzędziem na- tchnienia, że ludzie, dla których pisze, nietylko czują, ale i myślą, że poeta tylko przez myśl może w nich przelać swoje uczucia. Nie pójdzie nigdy za tem osobliwszem zdaniem o jego poe- zyi, że w niej jak pośród ruin starożytnych pa- miątek wszystkiego dorozumiewać się trzeba i z najdrobniejszych ułamków o okazałej wno- sić całości. Bo na co nam nowe gruzby budować? Lepsza zawsze budowa porządna, mocna, przez prostotę ozdobna, a nadewszystko *jasna*. Gdyby się nawet bardziej podobała gotycka, niżeli kla- syczna grecka lub rzymska, i ta powinna mieć pewny plan i rozkład i odpowiadać położeniu swojemu.“

Z niewielu poszczególnych zdań o utworach Mickiewicza, najobszerniejszą stosunkowo jest krytyka „Dziadów“ ze znanego już nam stano- wiska polsko-słowiańskiego. Powiada Brodziń- ski: „Może podanie ludu litewskiego, które dało przedmiot do poematu „Dziady,“ godne było usiłowań, aby z niego porządną utworzyć całość, ażeby mu nadać koloryt słowiański, więcej uczu- cia niż fantazyi. Chociaż bowiem duch, a nawet duch cierpiący pomieszanie zmysłów jest boha- terem tego poematu, nie idzie jednak za tem, aby i poema miała być mieszaniną, choćby krusz- ców najdroższych. Posępność i wszelkie wraże- nia, które autor zamieszał, mogłyby być wyda- ne *bez niemożyny*, i cała treść tego poematu na- stręczała obrazy piękne, rzecz nową, serce każde- go zającą mogać; potrzeba tylko, aby poeta był panem swojego natchnienia. Zwłaszcza też nie należało brać piosnek Goethego, kiedy stokrój właściwszy miał autor u tego samego ludu, któ- remu osnowę poematu jest winien.“

Zresztą Brodziński zostawiał Mickiewicza sa- memu sobie, przekonany, że sam trafi na drogę właściwą; chodziło mu głównie o to, „ażeby opa- czne mniemania o poezyi, ażeby egzaltacye me- tafizyczne nie były stawiane w miejsce wyobrażeń, zgodnych z naturą ludzką, ze smakiem i doświad- czeniem.“ Wprawdzie przyznawał on, że w spra- wie uczuć „pożądane są nawet uniesienia, ani- żeli zimna obojętność, że rozsądny dostrzegacz wiele tych uniesień przebaczać powinien,“ ale bardzo pragnął, ażeby one nie przybrały fałszy- wego kierunku.“ Rozsądny, lecz słaby głos Bro- dzińskiego lubo wpłynął częściowo na Mochna- ckiego, nie zdołał powstrzymać coraz namię- tniejszego wylewu uczuć i coraz gwałtowniej-

szego domagania się swobody bezwarunkowej w dziedzinie twórczości artystycznej. Przez cztery blisko lata (1827—1830) najdoniośniej hucały nowe hasła, a wystąpienia umiarkowanych podniecały tylko zacięłość nowatorów. Nie zamierzam kreślić całości tego wrzenia umysłów; dotknąć atoli muszę kilku przynajmniej szczegółów, gdyż w owej dobie poruszono mniej lub więcej wyczerpująco wszystkie niemal zagadnienia naczelną, o stosunku sztuki do społeczeństwa, jakie w następnych czasach aż do chwili obecnej zajmowały i zajmują ogół myślący.

VII.

Mochnecki jako współpracownik „Gazety Polskiej.” Jan Ludwik Żukowski.

Głównym organem romantyków naszych w Warszawie była od r. 1827 „Gazeta Polska,” a przedmiotem, który pobudził do pisania licznych artykułów, stały się „Sonety” Mickiewicza, wywołujące i w innych pismach długi szereg recenzyj. W samej sprawie „Sonetów” umieszczała „Gazeta Polska” w ciągu r. 1827 i na początku następnego aż dziewięć rozprawek wierszem i prozą, roztrząsających już to same „Sonety,” już to zdania o nich wyrażone zarówno w „Gazecie,” jak i gdzieindziej. Nie myślę ich streszczać, gdyż pod względem pojęć są one ubogie; chciałem tylko silnie zaznaczyć wpływ „Sonetów” na roznamiętnienie opinii w sprawach literackich. Odtąd korzystano z każdej sposobności, ażeby dążyć do rozszerzenia i pogłębienia natchnień mocno uwydatniać, a zarazem wykazywać jednostronność, płytkość i powierzchowność poglądów dotychczasowych. Rozbiory dzieł nowych, artykuły w czasopismach zagranicznych dawały pochop do rozwijania zdań bardzo rozległych.

Gdy Brodziński w przedmowie do wydanych przez siebie tłumaczeń pieśni słowiańskich potępił „olbrzymie wysoki, niepokój żądz i myśli,” widniejące w poezji niemieckiej i angielskiej, a zalecał malowanie uczuć spokojnych i łagodnych, jako odpowiednich usposobieniu Słowian, znalazł się ktoś w „Gazecie Polskiej” i napisał obszernie zaparcie tego twierdzenia p. t. „Czy obudzanie uczuć spokojnych i łagodnych ma być jedynem poezji dążeniem” (1827, N. 160, 161). Być może, iż odpowiedź ta powstała pod wpływem listu Mickiewicza do Odyńca, listu dziwiącego się ciasnemu pogładowi Brodzińskiego, którego zdania krytyczne wielki nasz poeta zwykł był cenić. Wiadomo, że to zdziwienie podyktowało w kilka lat potem owe znane w III ej części „Dziadów” wiersze, gdzie to jeden z literatów warszawskich powiada:

„Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie
[lubi;
Śpiewać naprzykład wiejskie chłopców zale-
[canki,
Trzody, cienie... Słowianie, my lubim sielanki.”

Było to istotnie najsłabszą stroną uogólnienia charakteru polskiego przez autora „Wiesława” i krytyka jej była dla niego dotkliwa, lecz nieskuteczna; Brodziński pozostał przy swojej opinii do końca życia.

Trwałe współpracownictwo Maurycego Mochneckiego w „Gazecie Polskiej” nastąpiło dopiero w r. 1828. Pisał wtedy bardzo wiele, najważniejsze atoli są dwie rozprawy obszernie, jedna p. t. „Myśli o literaturze polskiej,” druga p. n. „Artykuł, do którego powodem „Zamek Kaniowski” Goszczyńskiego.” W pierwszej rozwinął swój pogląd na sztukę w ogóle, a poezję w szczególności, w drugiej na zadanie krytyki. Oto ważniejsze twierdzenia:

„Trzeba do badań nad sztuką i literaturą zastosować prawdy zdobyte przez filozofię, rozumie się niemiecką. Naturę należy rozważać jako siłę czynną w stanie działalności i jako produkt tej działalności, co dawni filozofowie wyrażali słowami *natura naturans* i *natura naturata* Sztuka jest

naśladowaniem natury produkcyjnej. Natura jest wizerunkiem ludzkiego umysłu i nawzajem. Natura tworzy nie wiedząc o tem. I poeta czasem tworzy, nie wiedząc o tem, w chwilach uniesienia, wieszczego zapалу. Sprawy tego natchnienia muszą być równie znamienite, jak sprawy natury. W natchnieniu tylko pojąć ją i naśladować, a raczej jak ona tworzyć możemy.” Myśl tę uważał Mochnecki za nową, swoją własną. Potrzeba nam przejść „od naśladowania zewnętrznych form w niemej naturze i sztuce do naśladowania produkcyjnej siły, sprawującej, że te formy egzystują i takie a nie inne mają wejście.” Łatwo zgadnąć, że będzie to właściwie nie naśladowanie, ale „proces twórczy, produkcyjny, życiodajny.” Jeżeli sobie przyswoimy taki tryb tworzenia, to „nie będziemy potrzebowali szukać wzorów dla siebie bądź we Francji, bądź w Anglii, bądź w Niemczech, ani gonić za napowietrznymi ideałami.” Z tych założeń wyprowadza wnioski następujące:

1) Że jak świat materialny wyobraża myśl Niepojętej Mądrości, a rzeczy w nim zawarte są poniekąd wyobrażeniami duchowymi, którym natura z rozkazu boskiego zmysłowe nadaje postacie i kształty produkcyjną siłą swoją; tak też w poezji i sztuce toż samo prawo rządzi i pilnie przestrzegane być musi.

2) Że natchnienie, przechodzące wszelką mądrość ludzką, wspierać powinno i posilkować w robotach kunsztownych te władze i siły umysłu ludzkiego, których poruszenia mogą być przez nas samych obserwowane i do pewnego celu skierowane.

3) Że natchnienie w sztuce i poezji od razu stwarza duszę z ciałem, myśl wiąże najściślej z formą, albowiem nie masz w niem przedziału, przedział tylko w czasie i przestrzeni być może, a natchnienie umieszczone jest za ich granicą.

4) Że wreszcie myśl jest zasadą, a natchnienie najogólniejszym początkiem sztuk pięknych; przez natchnienie tylko możemy nadzmysłowe wyobrażenie w zmysłowych kształtach ukazywać.

Z tych zasad wyprowadzał Mochnecki przymioty moralne, mające znamionować artystę „Wiara w objawione prawdy, pobożność, czystość obyczajów i myśl niepokalana, są najgłówniejszymi warunkami do wszelkiego kunsztownego misterstwa. Umieszczając początek sztuk pięknych i poezji w natchnieniu, a samo natchnienie w niebie, czyliż nie dowiedliśmy ich ścisłego związku i spowinowacenia z religią prawdy, z religią miłości i wszelkich cnót społecznych? Poeta niedowiarek i sztukmistrz materialista nie czynią zaszczytu swemu powołaniu. Lecz hańbi je i okrywa sromem rozwiązłość, fałsz i piecnota.”

Wielkich tedy przymiotów moralnych wymagał Mochnecki od artysty i jeszcze wtedy hamulec etyczny pod wpływem wzniesłego idealizmu w pojęciu o zadaniach sztuki był bardzo silny i cyganerya artystyczna nie weszła jeszcze w modę.

(Dalszy ciąg nastąpi)



Kazimierz Głiński.

KRZYWDA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg.)

XVII.

Godzina piąta.

Nigdy jeszcze tak wzburzona nie była pani Karolina. Gdyby nie siła woli, dająca jej moc panowania nad sobą, darłaby suknie, targała

włosy, ryczała płaczem w gniewie bezsilnym. Mogła się wszystkiego spodziewać i zapomnieć niejedno nieogłędne słowo, lecz nie przebaczy nigdy tej śmiałości spojrzeń, skierowanych prosto sobie w oczy, tych rozszerzonych, skamieniających powiek, które na chwilę nie drgnęły, choć ona zionęła całym piekłem nienawiści. Mogła przypuszczać wszystko, lecz spojrzeń takich—nigdy!

Jak on patrzył—ten cichy, spokojny Hipolit!

Na wspomnienie o tem czuła cierpienie skóry na czaszce, zatrzymywanie się serca w piersi, to ognie nagłe, zalewające jej twarz i czoło. Lecz się zwyciężyła, przemogła. Wąskie, sine usta drżały tylko tłumioną wewnątrz burzą, nozdrza wachlowały, szybko wchłaniając powietrze w płuca, dreszcze po całym przebiegały ciele, a twarz nie straciła białości marmuru. Lecz się przemogła, choć nogi się pod nią łamały, a otaczające ją przedmioty zaczęły chwiać się i posuwać ruchem kolistym. Od bezsilnego krzyku i omdlenia powstrzymała ją myśl, że może być widziana. Dość byłoby widoku jednej Maryanny, by oprzytomnieć zupełnie. Uwielbiała siłę w sobie i drugich, choć nie znosiła oporu i czuła rozkosz w zgnieceniu potęgi. Chwilowo zapomniał nad nią, Hipolit; nie on się odwrócił i poszedł, nie jego powieki drzeć zaczęły, nie jego spojrzenie omdlewało i mgłą się zasnulo.

Ona uległa,—lecz się zwyciężoną nie czuje.

Krokiem powolnym, choć blada i z czołem namarszczonem przestąpiła próg swego mieszkania. Spotkawszy Maryannę, kazała przynieść szklankę wody i weszła do buduaru. Wzrok jej padł na portret Katarzyny de Medicis.

Zatrzymała się.

Obraz był stary i spłowiałe miał barwy i może dla tego czoło królowej było tak blade, jak jej czoło; może to czas wyrył bruzdę na niem, tak do jej bruzdy podobną. Grudowskiej zdawało się, że portret patrzył żywymi oczyma i coś mówił. Chwilę, a posłyszysz szept i zrozumie znaczenie wyrazów.

Weszła Maryanna.

Grudowska obróciła się do niej, podaną szklankę z wodą podniosła do ust, wypila i usiadła.

Pokojówka czekała na rozkazy.

— Czy mam odejść? — spytała po chwili.

— Możesz zostać.

Maryanna postawiła szklankę i przysiadła na niskim taborecie u nóg pani.

— Nic nowego? — spytała Grudowska.

— Nic, proszę pani, tylko pan Hipolit wyjechał.

— Wiem! pojechał do Hajczyniec.

— Znowu? — odezwała się Maryanna i rzuciła ramionami.

— I jak ci się to podoba, żeby pierwszy dzień świąt nie przepędzić ze mną?

— Na niego to patrzy,—odpowiedziała pokojówka.—I czego pojechał?

— Pewnie się oświadczy o rękę tej... Marytyldy.

Maryanna aż podskoczyła.

— A pozwolenie od pani ma?

— Nie,—odpowiedziała krótko Grudowska.

— A jakże to?...

— Nie wiem. Pojechał z zamiarem, o jakim ci już mówiłam, lecz mam nadzieję, że go nie wykona. Nim dojedzie do Hajczyniec, różne myśli będą mu się przesuwały przez głowę; coś przecie i moje słowo waży, i moja wola i... moje błogosławieństwo!...

— A jeżeli robi swoje? — spytała pokojówka. Pani Karolina pomyślała chwilę.

— Nie — jestem pewna, że nie!

— A jeżeli? — upierała się Maryanna.

Grudowska mimowoli spojrzała na portret.

— Jeżeli?... — szepnęła. — To.. potrafiemy to zmienić.

Za drzwiami dały się słyszeć czyjeś kroki—ktoś podszedł i widocznie zatrzymał się w progu.

— Kto tam? — dowiedź się Maryanno.

Maryanna wybiegła i wróciła za chwilę z paczką gazet i listów.

Pani Karolina nie tknęła dzienników, przejrzała tylko charakterystyki pism na kopertach, odrzu-

cając po kolei list po liście—jeden tylko zatrzymała w swej dłoni.

— Od Henryka,—szepnęła.

Rozerwała kopertę.

— Możesz wyjść,—zwróciła się do Maryanny.—Zawołam, gdy będziesz mi potrzebna.

Już przy pierwszych wyrazach odeztywano go listu błogi uśmiech rozjaśnił twarz pani Karoliny. Biała kartka papieru drżała w ręku czytającej, której serce rozkosznie biło, a myśl nurzała się w ciepłe słowa, kreślonych przez ukochanego syna. Nagle twarz sposepniała,—ręka, jakby bezwładna, obwisła, a list po fałdach sukni ku ziemi spłynął.

Grudowska przymknęła oczy, pozostawała przez chwilę pod wrażeniem marzeń ciężkich.

Zbudziła się, list podniosła i zwracając oczy na portret królowej Francji, patrzyła nań długo.

— Choćbym się miała dopuścić...—szepnęła,—Górki i Piaski Henryka być muszą!

Podniosła list i znów zaczęła go przebiegać oczyma.

„Złota mameczko!—pisał Henryk.—Pierwsze miesiące naszego pobytu we Włoszech przeszły nam bardzo mile. Tosia nieocenioną jest towarzyszką, bogata w pomysły, które uprzyjemniają chwile pobytu w najbardziej ustronnych zakątkach pięknej Italii. Przenosimy się z miejsca na miejsce, szukając wciąż nowych wrażeń i rozrywek. Czasem mi ta cyganeryja nie bardzo się podoba, ale Tosia chce—to dosyć! Zdumiewa mnie jej fantazja i wytrzymałość. Od trzech tygodni mamy: cudowne ciepło, kwitnące róże pod balkonem naszej rzymskiej willi i sploty zielonych bluszczów. W uroczystym dniu Wielkiejnocy byliśmy w świątyni świątyni i słyszeliśmy głos Papieża, rzucającego błogosławieństwo *urbi et orbi!* Uroczysta, niezapomniana chwila! Na trzeci dzień już nas unosiły lekkie gondole po szafirowych kanałach Wenecji. Od rana do nocy zwiedzaliśmy osobliwości majestatycznej królowej wód, bo Tosia śpieszyła się do Paryża. W dniu wyjazdu zachciało jej się skierować na Monte-Carlo i przypatrzeć się rozognionym twarzom graczy. Oczywiście, że nie odmówiłem jej zachciance, jak nie odmawiałem żadnym. Przybywszy, poszliśmy zaraz wieczorem do kasyna. Tłok, ruch, gorąco, to blade, to purpurowe twarze, zaparte technienia, albo westchnienia szerokie, gdy los nie zawiódł nadziei. Rulony złota przechodzą z rąk do rąk, grabki krupiera w ciągłym ruchu, zalegała tylko szalona cisza wyczekiwań, gdy puszczano w ruch koło szczęścia. Co za milczenie! Żadnego szelestu, technienia, oddechu—tylko szmer rulety i stuk skaczących wewnątrz gałek. Przy mnie stał jakiś syn Albionu i zgarniał złoto. Wygrywał. „Spróbuj—szepnęła mi Tosia.“ Nie chciałem. „Spróbuj“ szepnęła raz drugi. Sto!.. Dwieście!... Trzysta!... Wygrałem. Szalone miałem szczęście, zdawałem stawki, los mi służył. „Dalej!“ szeptała odurzona tem powodzeniem Tosia. Trzydzieści tysięcy miałem swoich, trzydzieści tysięcy wygranych. Postawiłem sześćdziesiąt. Los zawiódł. Udaliliśmy się do hotelu bez jednego franka w kieszeni. Nic nie rozumiem, jak się to stało. Lecz trzeba z Monte-Carlo wyjechać—a Paryż czeka. Zamiast do mamy, może powinienbym do Hipolita list ten wysłać, ale sądząc, że w tym wypadku żywe słowo więcej warte, niż martwa litera,—zresztą nie się tak bardzo zdrożnego nie stało,—postanowiłem prosić mamy, by wymogła na Hipolite pożyczkę 10,000 rb., które mu zaraz po powrocie zwrócić. Sumy tej potrzebuję, nie na odgrywanie się, lecz na wyjazd do Paryża. Gdyby sam nie miał, czy nie mógł (o czem, w nawiasie mówiąc, wątpię, bo to dziś Górki i Piaski intrajniejsze są od moich folwarków) to niech weźmie u Ziemanà à conto Dziadyszskowskich lasów, które, z wielu względów, nadszarpnąć muszę. Proszę tylko, niech złota mameczka zaraz ten interes załatwi, bo obawiam się skandalu, a klejnotów Tosi zastawiać nie chcę. *Faisant bonne mine au mauvais jeu*—żyję na kredyt w hotelu, wydając podwójnie. Hipolit będzie się zżymał—

niech się zżyma, aby tylko pieniądze przysłał. Moja złota mameczko! Obrachowawszy sumiennie wydatki, jakie, choćby w Grudowie mieszkając, ponosić musimy, by dom nasz na stopie właściwej postawić—widzę, że dochody z Grudowa i Dziadyszek—nie wystarczą. Trzeba będzie o jeden stopień zejść niżej, zamiast stanąć wyżej, jak to marzyliśmy oboje. Gwiazda Grudowskich zdaje się na zawsze zagasała.

„Całuje rączki drogiej mamy
„kochający bardzo, bardzo

„Henryk.“

Ostatnie słowa o gasnącej wciąż gwieździe roku Grudowskich wywołały szept głuchy z ust pani Karoliny:

— Choćbym się miała dopuścić... Górki i Piaski Henryka być muszą!..

Szeptała tak, myślała o pannie z Hajczyniec, która może w tej chwili wpoprzek jej marzeniom stanęła.

Gniew stłumiony rozdierał jej wnętrzości, czuła go w nierównym drganiu pulsów, w skurczu serca. Wspomniane w liście dochody z Górki i Piasków ogniem paliły jej twarz—zdawało jej się, że krzywda Henryka woła o pomstę do niebios.

Nie zwróciła jednak oczu na krzyż, wiszący nad łóżem, lecz na portret królowej.

„Zabij!“ wyraźny wybiegł szept z portretu. W tej chwili zegar uderzył piątą. Wybijał powoli, ze straszną, złowrobną jakąś powagą.

Grudowska posłyszała szum, jakby kotłowanie się wirów wodnych, uszy jej zaczęły się wypełniać gwarem i krzykami ludzkimi, żółtozielone bryzgi jakby wód zgniłych zalewały jej oczy, gwałtowne, konwulsyjne ruchy czyjeś wily się w tym odmiecie okropnej topieli, a zegar coraz powolniej, posepniej, jak dzwon pogrzebowy, uderzał godzinę piątą.

Ostatni bryzg tej strasznej fali, ostatni krzyk i dźwięk zegarowego serca—i... cisza...

Grudowska omdlała.

Pan Hipolit dojeżdżał do Hajczyniec.

W świetle słonecznym nurzały się lany zielone, mające wygląd seledynowym aksamitem wysłanej przestrzeni. Nieustające na chwilę śpiewy skowronków, jakby srebrzyste dzwonki rozrzucone w powietrzu, brzmiały naokół, a lekkie, ciepły wiatr przebiegał po obszarze pól i, kołyszając tych zbóż zielenią, nieźrównaną, tajemniczą grał pieśń szelestów.

To słońce, to ciepło i ta zieleni dziwnie uspokajające oddziaływały na pana Hipolita. Po krótkiej rozmowie z matką wyjechał wzburzony—lecz teraz powróciła równowaga umysłu. Jechał, by spojrzeć raz jeszcze, może po raz ostatni w oczy panny Matyldy, doświadczyć dawnych, choć spokojnych wzruszeń—albo doznać przykrości i marzenia wszystkie raz na zawsze pożegnać.

Hajczyńce! Widać dwór i drzewa pięknego ogrodu państwa Rybów.

Mimowoli panu Hipolitowi zabiło serce i żywiej krew w żyłach zagrała. Uczuł silne pragnienie ujżenia Matyldy taką, jaką była, gdy przygodnie wzięła na siebie rolę gospodyni w Górkach. Wahała się już nie będzie, powie otwarcie: „Złe mi jest samemu—daj odrobinę przyjaźni, odrobinę uczucia, a wspólnie już pracować będziemy na szczęście! Matka zamieszka, gdzie zechce—w Grudowie, Piaskach, czy dzisiejszej siedzibie, ale ja ciebie ochronię od przykrości widzenia się z nią. Wystarczym sobie, a gdy Pan Bóg da dzieci, wyglądają się wszystkie nierówności, jeżeli będą jakie.“

Furman skręcił na drogę, prowadzącą do dworu.

W tem z bramy wjazdowej wypadł kozak jeden i drugi na rozhukanych koniach i pomknęli gdzieś na przelaj,—z folwarku także wybiegło parobków kilku, siedząc oklep na chmyzach i popędziło śladami pierwszych. Na skraju lasów czerniejących w oddali widać było umykające kłęby kurzawy, pył rozciągał się w kształt komety i ginał w Zaleszczyńskich lasach Tołpiskiewiczza. Ku tym lasom pognali dworcy.

— Co to?—spytał Hipolit fornala.

— Hajczynieccy.

— To wiem!

— Parobki i furmany.

— Ale dokąd pognali?

— A Boh ich znaję!

— Jedź!—zawołał Hipolit.

Minęli bramę...

Cisza!

Stajnie otwarte, nikt z dworskich po pustym nie kręcił się dziedzińcu, nawet psy gdzieś zaszły się i zwykłym szczekaniem nie witały przybywających.

Podjechali pod dwór.

Ta sama cisza. Drzwi do sieni stały otworami i nikt na spotkanie gościa nie wyszedł.

Hipolit kazał fornalowi zaczekać przed domem, sam zaś wyskoczył szybko z powozu i wbiegł do mieszkania.

Ta sama cisza i pustka. Drzwi wszystkie i okna otwarte na ścieżaj, wiatr swobodnie przechadzał się po komnatach i poruszał ciężkie fałdy kotar, wydymał u okien koronkowe firanki i szeleścił w papierach, rozrzuconych po ziemi. Był to zbiór sztychów i rycin panny Matyldy.

Hipolit krokiem szybkim przechodził z pokojów do pokojów.—wbiegł do kredensu i do garderoby pań.. Nigdzie żywej duszy, wszędzie tylko dostrzegał ślady jakiegoś pośpiechu, rozrzucone ubrania, poruszone sprzęty, strugi wody i szka pobite.

— Czy jest kto?—na głos krzyknął.

Zabrzękły tylko szyby w oknach, mruknięto gdzieś echo niewyraźne i umilkło.

Grudowski wpadł w drzwi nieznanego sobie dotąd mieszkania.

Był to pokój panny Matyldy, jasny od potoków zalewających go promieni słonecznych, wonny od fijołków, które w dżbanuszkach stały na kilku stolikach. Na jednym z nich leżały kawałki kartonów, niewprawną czyjaś ręka wycinała koła, wiązała, lepila i nasadzała na patyczki strugane z drzewa. Stół cały był zalany wodą, na posadzce kałuże jej świeciły, a wycięte i poskiejane koła z wpoprzek idącymi żebrami mokły w nich i pęczniały. Widać było połamane olówki, podarte kawałki papieru, zaczynanie jaki-ś roboty i nie kończenie jej nigdy.

Pan Hipolit uczuł dreszcz strachu, coś mu w myśli błysnęło, przypomnienie jakiegoś zjeżył włoś na głowie.

Wybiegł z domu i huknął na woźnicę:

— Zajeżdżaj!

Wskoczył do powozu.

— Czyś zauważył, dokąd pognąć mogli ludzie hajczynieccy?

— Zauważył to nie bardzo, ale spotkał parobka jednego, a ten powiedział, co w Zaleszczyńskim młynie utopiła się panna.

— Pędź!—wrzasnął pan Hipolit.

Konie jak wicher pomknęły.

O wiorst kilka od Hajczyniec, w miejscowości zwanej „Młynem zaleszczyńskim,“ należącej do Tołpiskiewiczza, panował ruch niezwykły. Tłoczyli się ludzie, sami nie wiedząc, co robić, bo do kotliny dostęp był trudny; z jednej strony wznosiło się urwisko skały, z drugiej grzązkie ciągnęło się bagno, a wszystko najeżone przegniłymi pniami olszyny, splątane sitowiem i wikliną, albo gęstymi krzakami jałowcu, który obrastał boki parowu. Do jednego z nich był przytulony młyn. Stał nad głębią wartko płynącej rzeki.

Po krętej a kamienistej drodze pan Hipolit pędził, co koń wyskoczy. Echa nawoływań odbijały się o drzewa lasu, były coraz bliższe, zrozumialsze straszliwsze...

Nagle przerwała się ściana dębów i brzoź... Błysnął parów, młyn, woda spieniona, na której powierzchni chwiała się, o koła młyńskie zaczepona rękami, panna Matylda a ludzie kręcili się tam i sam, sprzeczcali się o sposób wydobycia martwego już ciała, lecz z jednej strony skała, z drugiej bagno broniły przystępu. Słychać było nawoływania i krzyki bezcelowe, lecz nikt nic poradzić nie umiał.

Zaledwie Hipolit wyskoczył z powozu, ktoś z rykiem okropnym padł mu w objęcia.

Był to pan Ryba.

— Nieszczęście, nieszczęście! — wołał.

I targał włosy i wyl, jak zwierzę.

— Gdzie pańska żona? — zapytał Hipolit.

— Tam... mdleje, tego uwa... ciągle mdleje!

Grudowski silną ręką wziął pod ramię chwiejącego się pana Rybę i podszedł z nim do pani Brygitty, która w otoczeniu służby i starszego syna, siedząc pod drzewem na murawie, omdlewała co chwila.

Dwudziestoletni młodzieniec, słuchacz drugiego kursu medycyny, z zaczerwienionymi od płaczu oczyma rozcierał matce skronie i pocieszał ją słowami religii. Sam w Pana Boga nie wierzył, ale w nieszczęściu takim ziemia pociechy nie zna. Wtedy wzrok się zwraca ku niebu i ludzie wołają: „Pociesz!”

— Mateńko — Pan Jezus więcej cierpiał, — szeptał student. — Rozpacz jest grzechem, rozpacz oddala zbawienie... a nam potrzeba niebios, żeby z Matyldką się zobaczyć... Mateczko — ona żyje... nie tu tylko — lecz tam!...

— Tam? — szeptała pani Brygitta — i ożywała na dźwięk tego głosu nadziei. — Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie! — drżącymi mówiła usty, i znów bladła jak trup i znów wpadała w omdlenie.

— Mateczko! miej Boga w sercu, — budził ją student.

— Bóg!... a gdzie On? — pytała.

— W duszach wierzących... Ty przecie wierzysz, mamó?

— Wierzę! — odpowiadała.

I tylko już łzy nieutulone płynęły z jej oczu, a usta szeptały:

— Wierzę... wierzę... wierzę...

Pan Hipolit tymczasem stanął na czele ratujących. Za pomocą wiązadeł i sznurów uczeplonych do kół i łotok młyńskich spuścił się do topieli, rozkazał rzucić drabiny i deski i budował szybko rusztowanie mocne, na których unieść miano ciało biednej panny Matyldy. Widocznie po spadzistej skale chciała w dół zejść, nogi się usunęły i spadła w kotłinę. Była wtedy godzina piąta, jak mówił młynarz, który usłyszał krzyk i plusk wody, a widząc co się stało, zamknął szluzę i z wieścią straszną do dworu pobiegnął. Śmierć nie nastąpiła odrazu. Biedna Matylda musiała długo walczyć z falami, świadczyły o tem jej palce, które z mocą niezmierną wpiły się w poprzeczne deski koła, i błędne oczy z przerażeniem patrzące, i zastygły wysiłek rąk i te palce, które pan Hipolit z niesłychanym trudem otworzył.

Wydobyto ciężkie, nabrzmiałe ciało i złożono na wóz wysłany sianem. Pan Ryba z rykiem nieludzkim runął na zwłoki ukochanej córki, matka podbiegła, ale tylko potok łez spłynął jej z oczu i, odrywając męża od zwłok dziecka, pocieszała go temi samymi słowami, jakimi przed chwilą syn do niej przemawiał.

W sercu Hipolita drgało ogólnie ludzkie uczucie żalu — lecz osobiście nie dotknął go ból żaden; przykrym dla niego tylko był widok tej twarzy obrzękłej, ust sinych, łona wzdętego, odpychający wyraz postaci całej. To też nie miał w oczach łez, któreby świadczyły o bólu jego własnym, wargi nie zadrżały, pierś nie wzbierała jękiem. Upewnił się tylko, że nie przełamie mocy przeznaczenia, uwierzył więcej w fatum, które zawisło nad nim.

Szczególny zbieg wypadków!

Po długich miesiącach wahania jechał do Hajczynie, by powiedzieć pannie Matyldzie: „Bądź moja!”. I właśnie w tym dniu — ona odeszła od niego na zawsze.

Strach zabobny ogarnął nim:

„Gdyby nie to postanowienie — Matylda by żyła!”

Pierś mu przytłoczył ciężar, rozsunała się przed nim jakaś przestrzeń wroga, pusta, glucho...

To życie!

Czem je wypełnić?

W uchu mu zadzwonił śmiech dziecięcy.

To się śmiały wuczęta Sochackich, wołając:

— Ujek! ujek!..

Wóz ze zwłokami Matyldy sunął powoli, za nim toczyła się karetka pani Brygitty. Student nie odstępował od matki, pana Rybę Hipolit posadził przy sobie.

— Przeczuwałem.. tego uwa... — szeptał pan Bonawentura. — Fiksacya.. to dziedziczne... S. p. matka moja, Weronika.. także... Nie utopiła się.. ale (tu palcem na czoło wskazał). Biedne, dziecko moje!.. i ono... Uważałeś — młyn... i zgubiła się. Wczoraj Brygittka przybiegła do mnie i mówi: „Chodź!” A ja — tego uwa... „Dokąd?” pytam. Aż patrzę, a ona trzęsie się. Tedy za nią — Prowadź i mnie do pokoju Matyldki... Słuchaj — to str... Słuchaj! Ona siedzi przy stole i młynki lepi. Ja do niej, a ona nic... Matyldko! wołam — a ona milczy.. Wtedy za rękę ją.. tak! — a ona obróciła na mnie swoje oczy błękitne — spojrzęła — i zaczęła... lać... wodę... Ja w krzyk — Brygittka w lament... a ona nic.. Spojrzy błędnie oczyma i leje wodę... na kółka tekturowe, które obracać się nie chcą... Tak cały dzień... i całą noc! Matka ułożyła ją spać, zasnęła... A dzisiaj zrana... niema. Szukaj — rozpacz... Darmo!.. Aż oto młynarz — wiesz.. Poszła — musiała upaść... i już...

Pan Ryba rwał włosy, tłumił łzy i jęki. Grudowski milczał, przy silniejszym tylko wybuchu bólesci ścisnął dłoń jego mocno i tem uspakajał szal rozpacz.

W Hajczyńcach zastali Tołpiskiewiczza.

Teraz pan Hipolit zbyt czynnym był już gościem, pożegnał i — niezatrzymywany — odjechał.

Pani Karolina po chwilowym omdleniu przyszła do siebie. Szczęściem, że nikt nie nadszedł, nie widział nikt, nawet Maryanny nie było. Wstydzila się słabości i nie wiedziała sama, dla czego omdlała. Jakiś szept wybiegł z portretu, który ją z nóg zwałił.

Z niepokojem i trwogą oczekiwała teraz powrotu pana Hipolita.

Godziny się przedłużały, stawały się jak wieki długie — a na dziedzińcu żaden turkot się nie odzywał.

Pani Karolina spojrzęła w okno.

Zachód.

U dołu pas nieba był jakby krwią obłany, słońce — rozdęte — w jakichś krwawych nurzało się oparach.

Zaszło —

Mrok — cisza!

Pani Karolina wyszła na dziedzińiec, ku wrotom podeszła i spojrzęła na drogę, która, jak wąż stalowy, wśród pól się wiała.

Pusto.

W sercu Grudowskiej kipiała krew, myśli ogniem mózg jej paliły.

„Biada ci, gdy weźmiesz słowo od niego! — szeptała.

Na szafkach zapaliły się gwiazdy, w niskich krzakach, tuż koło okien pokoju pani Karoliny, odezwało się słowicze gruchanie. Gwizdy i klaszki napełniły powietrze, umilkł jeden śpiewak, zaczynał drugi, czwarty i dziesiąty... I brzmiał koncert miłosny, a brzmiał z niezrównaną jakąś potęgą i siłą.

— Przeklęte słowiki! — odezwała się pani Karolina.

Klasnęła w dłonie — i spłoszyła śpiewaków.

W buduarze już paliła się lampa — Maryanna czekała na rozkazy.

Grudowska przeszła mimo, nie rzekła słowa i wzięwszy jakąś książkę do ręki, czytać zaczęła.

Pokojówka usunęła się dyskretnie.

Około godziny dziesiątej zaturkotało przed domem.

— Pan Hipolit! — zawołała Maryanna, wpadając do pokoju pani.

— Wiem — idź! — rzekła Grudowska.

Serce jej biło młotem z siłą do niewytrzymania —

— Czy zajdzie? — pytała siebie.

W kurytarzu dały się słyszeć kroki pana Hipolita, szedł równo, powoli, lecz pewną stapał nogą.

— Idzie, — szepnęła. — Z czem? — dodała.

Grudowski otworzył drzwi i wszedł do pokoju matki.

Na widok wchodzącego wróciła Grudowskiej zupełna swoboda umysłu. Hipolit zatrzymał się w połowie pokoju i spojrzęł na matkę.

— I cóż? — spytała pani Karolina, zaciskając lekko wargi.

— Możesz matko być już spokojną! — odezwał się Grudowski.

— Nie rozumiem, — odparła.

— Nieszczęście nawiedziło dom Rybów. Straciła córkę.

— Umarła? — spytała głosem jak lód zimnym.

— Utopiła się — dziś o godzinie piątej.

Pani Karolina drgnęła.

„Zabij” — wyszeptał portret, i ona wyteżyła myśl całą — i padła — a zegar uderzył piątą.

— Ha! — wypadło z jej piersi.

Podniosła się.

— Czy doprawdy nie żyje?

W tem pytaniu brzmiała jakaś radość szalona, której nie mógł znieść Hipolit.

Odwrócił się i wyszedł.

— Cha-cha-cha!... — dziki, nerwowy śmiech wyleciał z piersi pani Grudowskiej, — spojrzęła na portret Katarzyny de Medicis, a z ust jej wypadł szept:

— Zabiła! zabiła!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODCZYTY.

IV.

Ignacy Matuszewski: „Cele sztuki.”

Okazuje się, że nie bez słuszności twierdzono, iż zbyt wielka obfitość rozrywek i zabaw w poście (dziwne bywają czasem zestawienia pojęć), w postaci wszelkiego rodzaju rautów, koncertów i innych zebrań towarzyskich, była jednym z głównych powodów obojętności inteligencji naszej względem przedwiekanocnej seryi odczytów publicznych. Bo oto, gdy już umilkły echa powinszowań świątecznych, ze stołów znikły mazurki i „baby,” a promienie wiosennego słońca zwiastowały rozbawionej, *comme de raison*, Warszawie, że po karnawale zimowym zbliża się dla niej... karnawał majowy, z nieuniknionym śpiewem słowików, szmerem wodotrysków i westchnieniami zakochanych par w ogrodach i parkach podmiejskich — i gdy po parotygodniowej przerwie, zarówno w sali ratuszowej, jak i w Muzeum przemysłu i rolnictwa, rozpoczęto nową seryę prelekcji, przekonaliśmy się z przyjemnością, że jednak bywają takie szczęśliwe tygodnie w życiu naszego miasta, w których zdobywa się ono na zapelnienie publicznością sporej sali, nie tylko podczas rautu, koncertu lub widowiska scenicznego.

Odczyty posypały się, jak z rogu obfitości; niepodobna wprost z treścią wszystkich zapoznać bliżej czytelników. Więć też wspomniemy tylko, że p. Karol Dunin, mówiąc o ślubach cywilnych, powstawał gorąco przeciw rozszerzaniu fałszywych poglądów, jakoby ta forma małżeństwa nie miała charakteru związku dożgonnego, lecz zawierana być mogła dowolnie, na kilka lat lub miesięcy. W paru słowach również załatwimy się z odczytem p. Ksawerego Sporzyńskiego, który wogóle zawiódł oczekiwania nasze. Jego opis wycieczki na Lofoty był suchym i dosyć bezładnym zestawieniem faktów, które znaleźć można w każdym obszerniejszym podręczniku geograficznym. Znać, że w wycieczce tej nie towarzyszyła prelegentowi żywsza wrażliwość na piękno przyrody, że najwymowniejsze jej głosy nie znalazły w duszy jego oddźwięku i współdrzania.

Do najciekawszych, natomiast, najobfitszych w treść i najgłębszych należał niewątpliwie

w tym roku odczyt p. Ignacego Matuszewskiego o celach sztuki. Znany estetyk poruszył w nim przedmiot, budzący dziś zainteresowanie ogólne i, nie kuszając się o wyczerpanie jego treści, co w granicach godzinnej prelekcji byłoby rzeczą zgola niemożliwą, zaznaczył wyraźnie odrębne swe stanowisko, potrącił mimochodem o kilka pierwszorzędnych kwestyj, a na pytanie, tkwiące w tytule odczytu, zdołał sformułować odpowiedź jasną, kategorię, usuwającą wiele dotychczasowych nieporozumień i wątpliwości.

Cele sztuki... Trudno doprawdy wynaleźć dzisiaj przedmiot, wywołujący większą liczbę sprzecznych i pozornie wyłączających się wzajemnie zdań, twierdzeń, poglądów. Wsłuchując się w głosy estetyków i myślicieli, od starego Arystotelesa i wykwińskiego Boileau, aż do takich współczesnych, jak Ruskin lub Tołstoj z jednej strony, a Fryderyk Nietzsche albo Stanisław Przybyszewski z drugiej, doznajemy chwilami wrażenia, że znaleźliśmy się znowu gdzieś w pobliżu biblijnej wieży Babel, a wkoło nas — wiadomo — szumi morze, czy mówią ludzie, nie mogący się pojąć wzajemnie, nadający jednej i tej samej rzeczy najrozmaitsze, zupełnie niepodobne do siebie nazwy i epitety, prowadzący nieskończone spory, niekiedy o słowa tylko, słowa, słowa...

Więc taki Ruskin pragnąłby swój kult piękna rozpowszechnić wśród mas najszerzych, i kwiaty, według wyrażenia Roberta de la Sizeranne, nie zakrywają mu ludzi, jak róże Heliogabala; a dzieła, nawet dzieła sztuki, nie zasłaniają robotników. W muzeum, wobec wykwińskich lub wspaniałych zabytków piękna, nagromadzonych dla przyjemności naszej przez stulecia minione, myśli o dobie teraźniejszej, i kiedy niesprawiedliwość tryumfuje i wznosi się przypływ nędz ludzkich, on obraca się od obrazów i przeciw rzeczywistości wyrzuca z piersi okrzyk gniewu, porywający tych, których okrzyki zachwyty nie wzruszyły.

A wtem zjawi się niespodziewanie ktoś inny i w namiętym wyznaniu wiary głosić zacznie, że sztuka tendencyjna, sztuka pouczająca, sztuka-rozrywka, sztuka-patriotyzm, sztuka mająca jakiś cel moralny albo społeczny, przestaje być sztuką i staje się „biblia pauperum“ dla ludzi, którzy nie umieją myśleć lub są zbyt mało wykształceni, by mózgi przeczytały odnośne podręczniki — a dla takich ludzi potrzebni są nauczyciele wędrowni, a nie sztuka. „Działacz na społeczeństwo pouczająco albo moralnie, rozbudzać w niem patriotyzm lub społeczne instynkta za pomocą sztuki, znaczy poniżać ją, spychać z wyżyn absolutu do nędznej przypadkowości życia, a artysta, który to robi, niegodny jest miana artysty. Sztuka demokratyczna, sztuka dla ludu jeszcze niżej stoi. Sztuka dla ludu, to wstrętne i płaskie banalizowanie środków, jakimi się artysta posługuje, to plebejuszowskie udostępnienie tego, co z natury rzeczy (?) jest trudno dostępnym. Dla ludu chleba potrzeba, nie sztuki, a jak będzie miał chleb, to sam sobie drogę znajdzie. Zwlekać sztukę z jej piedestału, włożyć ją po wszystkich rynkach i ulicach, to rzecz świętokradzka.“

Ciekawa rzecz, jak sobie poradzi prelegent wobec takiej płataniny poglądów; jak z chaosu zdań sprzecznych wyciągnąć zdoła wskazówki, ułatwiające słuchaczom orientowanie się w tej dziedzinie, w której, jak sam powiada, szukanie celów najwięcej może wyrodzić czcigodnych pomyłek? Znajac Matuszewskiego z prac innych, z książek, rozpraw i nawet artykułów pobieżnych, nie można wątpić, że, jak zawsze, wybiere i tym razem drogę najniewdzięczniejszą z pozoru, a najpewniej prowadzącą do celu, drogę, na której nie ma miejsca dla czczej błyskotliwości i obliczonych na popis efektów, drogę, słowem, ścisłego rozumowania logicznego, będącego od wieków najskuteczniejszym orężem dla wszelkiej jednostki myślącej.

Nie próbując nawet przytaczać tutaj ściśle osnowy odczytu, który, jak po wiedziliśmy już, odznaczał się niezwykłym bogactwem treści i zapełniał się niezapomnianymi dźwiękami i obrazami, chcemy tylko w zarysach ogólnych za-

znaczyć jego punkty wytyczne, oraz trafne wnioski, do których prelegent w nim doszedł.

Przedewszystkiem więc, pragnąc odpowiedzieć na powtarzane niejednokrotnie w toku dziejów pytanie o celu i pożytku sztuki i zastrzegłszy się z góry, że o odnalezieniu jej celu jedyne, zasadniczego, absolutnego, nie może wcale być mowy, p. M. dzieli pytanie samo na dwie części, wiedząc dobrze, że czego innego szuka w sztuce artysta, a czego innego tłum profanów, znany pod nazwą publiczności; że innym jest stosunek dzieła do twórcy, a innym do słuchacza lub widza, że więc innym być musi cel sztuki dla artysty i zupełnie innym dla ogółu.

Dla uprzyśtępnienia samego pojęcia celu, zwraca się autor do rzeczy najprostszych i najbliższych nas i na zasadzie szeregu przykładów dochodzi do wniosku, że pożytek, przyjemność i inne t. zw. cele nie tkwią w naturze samej, lecz w naszym stosunku do niej, że naturę całą mierzymy zazwyczaj naszą własną krótką i jednostronną miarą, że więc nie mamy prawa uważać tej miary za kryterium bezwzględne, odpowiadające właściwemu stanowi rzeczy.

Podobnie nauka i sztuka przynoszą społeczeństwu pożytek niemały, ale nie w pożytku bynajmniej kryje się przyczyna ich powstania. Nauka czysta jest sama w sobie celem. Wielcy uczeni, badając tajemnice natury, dają tylko do poznania prawdy i nie troszczą się wcale o jej wyniki praktyczne, często nawet przewidzieć nieumieją konsekwencji prawd zdobywanych. Ale każde nowe odkrycie rozszerza horyzont umysłowy ludzkości, dostarcza materiałów do ujęcia chaosu zjawisk w jakąś logiczną i organiczną całość i w pewnej przynajmniej mierze przyczynia się do zadowolenia wrodzonej człowiekowi potrzeby psychologicznej, którą jest dążenie do rozwiązania odwiecznych zagadek bytu. Ponieważ zaś prawda bezwzględna jest ideałem przeczuwanym, ale nieznanym i niedoścignionym, więc i nauka czysta, dążąca do poznania tego ideału, jest sama sobie celem, bo wartość jej spoczywa głównie w samym wysiłku duchowym, w moliźnie a ciąglem posuwaniu się naprzód, w ciągłej wreszcie tęsknocie do ideału, podtrzymującej w nas energię moralną.

Jak nauka czysta dąży do prawdy, tak sztuka dąży do piękna. Zarówno uczony, jak artysta, dają do ujęcia w jedną całość pewnych kategorii zjawisk, tworząc tym sposobem syntezę naukową i artystyczną. Pierwsza daje nam — mniejsza o to, złudne, czy słuszne — przeświadczenie, że rozumiemy co się dokoła nas dzieje i, co za tem idzie, względny spokój i równowagę duchową; przy pomocy drugiej, artysta w zjawiska otaczającego nas świata wlewa swego własnego ducha, nadaje im własne prawa i tworzy z nich świat nowy, pokrewny rzeczywistości, ale bardziej skoncentrowany i jednolity, a przytem zrozumialszy i sympatyczniejszy dla nas, bo „przechrześciany“, to jest tętniący uczuciem ludzkim i przemawiający do uczucia.

Stosunek uczucia do świata nasunął prelegentowi poetyczne porównanie do dwóch żywych harf, stworzonych z jednego materiału, ale różnych rozmiarami i nastrojem. „Mniejsza z nich, obdarzona czuciem i świadomością, dąży do tego, by dźwięczeć harmonijnie z większą, lecz, nie mogąc schwytać jej zasadniczego tonu, brzmi najczęściej fałszywie i wskutek tego cierpi. W pewnych wypadkach jednak niektóre czulsze i subtelniejsze instrumenty, zespalają swe głosy w akord z olbrzymimi strunami harfy kosmicznej i wtedy rozdźwięk pomiędzy człowiekiem i światem zmienia się w harmonię.“

Człowiek przeciętny, nie mogąc ogarnąć sam zawiłości i ogromu wszechświata, zwraca się do owych czułych harf, do ludzi, obdarzonych zdolnością tworzenia możliwie jasnych i pełnych syntez, do filozofów, poetów i artystów, a ci z pozornego bezładu wydobywają porządek, z brzydoty piękno, z chaosu harmonię estetyczną. Artysta rozwija wrażliwość przeciętnego człowieka, rozszerza horyzont jego wyobraźni, uczy go miłości i zachwyty, potęguje jego życie duchowe i podnosi temperaturę jego uczuć. W działalności jego kryje się niewątpliwie dla ogółu spe-

cialnej natury pożytek i rozkosz, które ogół ten spożywa i przetrawia w swoim umyśle, i w tem właśnie wyraża się stosunek społeczeństwa do sztuki.

Ale ani pożytek, ani nawet wyższe zadowolenie estetyczne czytelników, słuchaczy lub widzów nie stanowi celu działalności artysty, dla którego sztuka jest i powinna być sama sobie celem. Ulęgając świadomie obcym wpływom zewnętrzny, zbacza on z właściwej drogi, zmienia się w polityka, publicystę, kaznodzieję lub popularyzatora i tworzy dzieła połowiczne: za mało artystyczne ze stanowiska sztuki, za mało poważne i ściśle ze stanowiska etyki, polityki i socjologii.

Nie idzie za tem, aby artysta nie dotykał wcale tematów politycznych, socjologicznych lub etycznych, jeżeli odpowiadają one jego usposobieniom i zdolnościom. Idzie jednak o to, aby twórczość jego była bezinteresowna i szczerą, aby na korzyść doktryn socjologiczno-politycznych lub moralnych nie czynił ofiary z własnych wrażeń i uczuć. Istotą zresztą dzieła sztuki, jak słusznie mówi prelegent, stanowi nie temat, ale opracowanie; nie surowy materiał, ale to, co się z niego pod ręką mistrza narodzi, a przedewszystkiem owa umiejętność patrzenia na świat „pod kątem wieczności“, dzięki której Szekspir np., nie troszcząc się o żadne doktryny, i tendencje, stworzył dzieła tak wysoce „społeczne“, że socjologowie, politycy i moralisci niejednemu nauczyć się z nich mogą. Obowiązkiem artysty jest więc stwarzać arcydzieła, a społeczeństwo samo potrafi już odszukać zawarty w nich pokarm duchowy.

Artysta rzeźbi, maluje, pisze pod wpływem niezwalczanej potrzeby wyładowania w danym kierunku nagromadzonej w duszy jego energii twórczej, a czyniąc to, ma jedynie na względzie prawdę i piękno w najszerszym tego słowa znaczeniu i nie troszczy się wcale o mniejszy lub większy pożytek, osiągnąć z dzieł jego przez ogół. Ten ostatni jednak szuka i znajduje w dziele sztuki przyjemność lub wyższy jej stopień — rozkosz estetyczną, a niezależnie od celów, do których zmierzał artysta, niezależnie nawet od świadomej woli twórcy, — w dodatku niejako do owej przyjemności i rozkoszy, — osiąga z dzieł prawdziwie artystycznych pewną ilość pożytku, nie dającego się wprawdzie wymienić od razu na monetę brzęczącą, bo wyrażającego się przedewszystkiem w posuwaniu ludzkości naprzód na drodze do „uduchowienia“, ale dlatego właśnie przyczyniającego się niemało do stopniowego przerabiania zwykłych „zjadaczy chleba“ w ludzi, godnych naprawdę tej nazwy.

W ten sposób mniej więcej rozumie p. Matuszewski powtarzane dziś często, a rzadko rozumiane naprawdę hasło: sztuka dla sztuki.

Ostatnią część odczytu poświęcił prelegent t zw. niemoralnym tematom i motywom, a pogląd jego w tej kwestyi znalazł wyraz w zdaniu, że żaden wielki, ale rzetelnie wielki poeta i artysta nie stworzył nigdy nieetycznego arcydzieła, jak żaden wielki filozof i uczony nie odkrył nigdy „niemoralnej“ prawdy, jeżeli tylko istotnie odkrył „prawdę.“

Głębokie skupienie, z jakim licznie zgromadzona publiczność słuchała ciekawych, oryginalnych i technicznych prawdziwym umiłowaniem przedmiotu wywodów prelegenta, świadczyło wymownie, że przedmiot ten potrafił ją zająć, a wykład zadowolić w zupełności, co w chwili właściwej stwierdziły również bardzo gorące oklaski.

Wł. Bukowiński.

Z RZYMU.

W początkach Kwietnia.

Cały świat ma zwrócone obecnie oczy na Rzym, a właściwie na Watykan, gdzie Ojciec św. Leon XIII, dziś, Bogu dzięki, zdrów najzupełniej—

ciężko chorował. Świat katolicki zasyłał gorące modły do Najwyższego o zdrowie dla Namiestnika Chrystusowego — i Bóg modłów tych wysłuchał: papież Leon XIII przyszedł do zdrowia i rozpoczął szczęśliwie 90-ty rok świątobliwego i pełnego mądrości żywota.

Teraz znów gród starodawny ogniskuje w sobie uwagę powszechną, dzięki kongresowi prasy, który się w Rzymie odbył w tej chwili.

Gwar zapanował w lokalu rzymskiego Stowarzyszenia prasy na placu Colonna. Lokal to wspinały: ma salę balową, wielką czytelnię gazet, salę bilardową, gabinet do rozmowy, salon do kart i szachów, salon do pisania i kilka pokoi dla sekretaryatu i służby. Jedna strona piętra wychodzi na plac Colonna, druga na plac Montecitorio, gdzie stoi gmach parlamentu. Do tegoż piętra należy kolosalny balkon na 200 osób, wsparty na portyku, gdzie w lecie panowie dziennikarze razem z żonami i rodziną, od Czerwca do Października, mogą wieczorami przysłuchiwać się w oświetleniu lamp elektrycznych muzyce, grającej co wieczór na placu pod historyczną kolumną Cezara, pokrytą od góry do dołu płaskorzeźbami, przedstawiającymi wojny Marka Aureliusza z germanami i sarmatami.

Na szósty kongres międzynarodowy zjechali się do Rzymu: Alfred Szczepański z Wiednia, Jan Gadomski, redaktor „Gazety Polskiej” z Warszawy, ze Lwowa z Towarzystwa dziennikarzy polskich Kazimierz Skrzyński; dalej: Ignacy Nikorowicz, Ludwik Masłowski, Adam Bienkowski, Edward Lilien, z Wiednia także zjechał Kwazewski, z Paryża zjawili się: Hébrard („Temps”), Gaston Jollivet („Gaulois”), Leon Claretie („Débats”), Jules Claretie („Temps”) i wielu innych. Zarówno z nad Sekwany, jak i z prowincyi, Francya wysyła ich cały legion najrozmaitszych barw, istną mozaikę, od klerykalnych wojujących, aż do masonów i socjalistów czerwonych. Niemcy i Austrya występują trochę skromniej, ale i tak zastęp ich jest bardzo liczny: Blumenthal, Kalisch, Mühlhing (monachijaska „Allgemeine Zeitung”), z Berlina: Singer, Schiff, Szeps, Kalbeck, Uhl, Holm i t. d. i t. d. Z Pragi: Willomitzer, Cerveles i t. d. Z Rosyji zgłosili się: p. Semenow z „Nowosti” i Halperin Kamiński, korespondent „Świeta.” Wszystkie większe dzienniki włoskie są reprezentowane, w Komitecie zaś zasiadają: senator Romuald Bonfadini publicysta, i Torelli-Viollier, b. redaktor jednego z najlepszych dzienników włoskich, medyolańskiego konserwatywnego „Corriere della Sera.” Nie brak i przedstawiciela papieżkiego „Osservatore Romano” w osobie Rossiego. Oczywiście, że i tu najrozmaitsze odcienia dziennikarskie znalazły się obok siebie, od klerykałów aż do skrajnego socjalizmu. Jest i publicysta turecki Emir Emin Arslan.

Zjazd w ogóle ogromny, a najtrudniej z mieszaniem. — Rzym w tym czasie jest przepełniony cudzoziemcami, wszystkie hotele, „pensyny” są pełne, a tu zjeżdża ze 650 dziennikarzy, wielu z żonami, rodziną, więc jest ciasno i trudno o pomieszczenie. Kilkanaście firm, produkujących włoskie wina, zgłosiło się w tych dniach do komitetu z ofiarą kilkudziesięciu tysięcy butelek dla członków kongresu, począwszy od win Chianti, Barolo, Asti Frascati, Orvieto, a skończywszy na gorących winach Marsali, Capri, Lacrima Christi, musujących i nie musujących. Wszystko to zjawi się na biesiadach koleżeńskich.

Po Anvers, Bordeaux, Peszcie, Stockholmie i Lizbonie, dziś Rzym gości tych, których Leon XIII nazwał niedawno tak nadzwyczaj trafnie

„pszczołami historii.” Powołani notować codziennie drgnienia serca i duszy ludzkiej, zbierają oni materiał, z którego potem historycy budują dzieje. Ale zadanie ich nie ogranicza się na tem: nie tylko są sprawozdawcami z rozwoju myśli ludzkiej, ale wpływają także na urabianie się tej myśli i ztąd pochodzi, na tem polega owa powszechnie dziś i bez zastrzeżeń uznana olbrzymia potęga prasy. Jest to potęga demoniczna nieraz, ale jest także częściej błogosławioną i podobnie jak nigdy niewolno ustawać dobremu w walce ze złem, trzeba także zawsze stać czujnie na straży wówczas, gdy potęga ta znajduje zewnętrzny wyraz w międzynarodowym kongresie prasy.

Związek ten i ten kongres doroczny mają za zadanie przede wszystkim cele zupełnie konkretne i praktyczne; niepodobna im jednak odmówić znaczenia szerszego, już chociażby dla tego, że jako zbiorowisko przedstawicieli pracy dziennikarskiej całego świata, są wyrazem ewolucyi, którą przebywa ludzkość i myśl ludzka; solidarność zaś zawodowych pracowników dziennikarstwa bez względu na różnicę ich zapatrywań i narodowości, posuwa myśl zbliżenia się ludów do siebie i uszczęśliwienia w ten sposób ludzkości.

Dla tego też dobrze się stało, że po Anvers, Bordeaux, Peszcie, Sztokholmie i Lizbonie, przyszła kolej na wieczne miasto, gdzie przed wspinałym kościołem, wzniesionym na grobie św. Piotra, na starożytnej „igle Kleopatry” błyszczą tryumfalnie krzyż, jako znak: „In hoc signo vinces!”

W d. 4 b. m. około godziny 11-ej, senator Bonfadini wygłosił do zebranych serdeczną i piękną przemowę. Mówca powitał zebranych i prosił ich, aby się czuli wszyscy, jak u siebie w domu, bo oprócz otwartych serc Włochów, członkowie kongresu znajdują tu ową uniwersalność Rzymu, który obejmuje wszystkich i wszystko.

„Wy, Niemcy — mówił senator Bonfadini, znajdziecie tu przybytek, który zamieszkiwał Goethe, wy Polacy dom, który przechowuje pamięć Mickiewicza; wy Anglicy miejsce, w którym mieszkał Walter-Scott i gdzie Shelley tworzył swe arcydzieła; wy Francuzi, skromny hotel, w którym Montaigne ścisnął dłoń Tassa; dla całego świata są tu wspomnienia w tym mieście, gdzie Des Brosses przeobraził się w turystę, a de Chateaubriand w dyplomata, gdzie Krystyna skandynawska stwierdziła swą miłość dla sztuki i swój zapał do miłości... Wszyscy znajdziecie tu niezatarte ślady owej uniwersalności, z której Rzym jest dumny i szczęśliwy i którą wam dziś przypomina.”

Mowę, przerywaną gorącymi brawami i oklaskami, zakończył Bonfadini życzeniem, aby kongres odniósł ze swej pracy jak najlepsze rezultaty dla braterstwa prasy całego świata, a wreszcie wychylił kielich na cześć goszczących w Rzymie obcych dziennikarzy.

Międzynarodowe Stowarzyszenie artystów na via Margatta uczciło dziennikarzy wielkim rautem, na którym była i muzyka. Grała naskrzypkach Teresina Tua, śpiewał Marconi, pianistka pani Colla odegrała kilka kompozycyji, produkowała się śpiewaczka panna Milanese. Tłok i gorąco, wszyscy więc byli zmęczeni. Trzy panie ze świata dziennikarskiego zwracały na siebie ogólną uwagę ekscentrycznością tualet: pani Jacquemaire (córka posła Clemenceau), pani Cattulle Mendès, obie z Paryża, i pani Luzzaty, żona redaktora rzymskiej „Tribuny.” Wszystkie te trzy damy, mówi p. Darowski, wiotkie a eteryczne, wystąpiły tak wydekoltowane i w tak obcisłych stanikach i spódnicach, jakby były po-

staciami z obrazów dawnych. Do tego uczesanie równie fantastyczne, jak tualety.

Bardzo wspaniale wypadło przedstawienie galowe w teatrze Costanzi, gdzie krzesła i łoże odane były dziennikarzom. Był to teatr *paré*, sala oświetlona *a giorno*, samo zaś przedstawienie „Cyganery” Pucciniego — wyborne.

Grono dziennikarzy Polaków, obecnych na kongresie prasy, postanowiło uczcić pamięć Adama Mickiewicza i uwieńczyć popiersie wieszona na Kapitolu w t. zw. „pałacu konserwatorów,” w piątek tedy (dnia 7-go b. m.) o godzinie 4-ej, po wyjednanu pozwolenia od syndyka Rzymu, ks. Ruspoligo, delegaci kongresowi i dziennikarze: Kazimierz Skrzyński, Alfred Szczepański, Jan Gadomski, Adam Darowski, Ludwik Masłowski, Adam Bienkowski, dr. Józef Drzewiecki, Inländer, Nikorowicz, oraz wiele osób z kolonii polskiej i ze świata naukowego włoskiego zgrupowali się na Kapitolu, aby uczcić pamięć poety, który przed laty 50 gościł był w Rzymie.

Na marmurowym popiersiu złożono wspaniały wieniec z wawrzynu i kwiatów, z napisami na wstęgach.

Jeden z tych napisów brzmiał: „Adamowi Mickiewiczowi dziennikarze polscy z VI kongresu prasy. Rzym, 7 Kwietnia 1899 r.” Na drugiej zaś wstędze widniał napis włoski: „Al Sommo Poeta Adamo Mickiewicz i publicisti polacchi del VI congresso della Stampa Roma 7/4 1899.”

Po uwieńczeniu popiersia (dłuta W. Brodzkiego), zabrał głos Kazimierz Skrzyński po polsku i uczcił pamięć poety w dłuższym przemówieniu, po nim zaś przemówił po włosku p. Ad. Darowski, dziękując Rzymowi za gościnność i przypominając pobyt Mickiewicza w Rzymie przed 50 laty.

Odpowiedział delegat rady miejskiej, komandor Lazzaro, którego gorące przemówienie przyjęto oklaskami.

W końcu, z grupy otaczającej biust Mickiewicza, zrobiono zdjęcie fotograficzne.

Przyszły wszechświatowy zjazd dziennikarzy odbędzie się w roku przyszłym w stolicy świata, Paryżu.

Aliquis.

Wyszła z druku książka:

ORCHIDEE

ZBIÓR NOWEL

przez

Marcellego Strzemieńczyka

Cena egzemplarza kop. 90, pocztą rub. 1.

Skład główny w Księgarni

GEBETHERA i WOLFFA

Krakowskie-Przedmieście,

róg ulicy Czystej;—do nabycia w Administracyi „Bluszczu” i we wszystkich Księgarniach.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołączają się: ark. 1 i 2 powieści, p. t. *Dwóch ludzi*, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S.

Treść: Złota książeczka Papieża Leona XIII, przez Szczęsną.—Na werendzie. (Pogawędka), przez ??—Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym. VI.—Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg). — Odczyty. IV, przez Wł. Bukowińskiego. — Z Rzymu, przez Aliquisa.

Dodatek obejmuje: *Dwóch ludzi*, powieść, przez Idę Boy Ed. Przekład Z. S. arkusz 1 i 2.—Przegląd mód. 33 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 14 Апрелья 1899 г.

Serweta haftowana.

Rycina Nr 16 w Bluszczu Nr 16. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 54 i 55).

Przykrycie to na stół, stosowne do altan i balkonów tę ma wielką zaletę, że haft na nim jest nader łatwy, a przytem efektowny, wykonany zaś bawełną lśniąca, doskonale prac się daje. Tło stanowi grube, mało bielone płótno. Przy brzegu przystębnowane są najpierw wążka, następnie szeroka pliska z angielskiego płótna w brudno-niebieskim, zielonym, lub innym kolorze. Rogowe figury deseni (patrz rycina 13), wykonane są kolorami: blado-lila, kwiatki, —terracota, gałązki, —brudno-zielone, liście. W fantazyjnych jednak deseniach kolory mogą być zmieniane dowolnie. Ścieg, jakim haft jest wykonany na gałązkach tylko wychodzi wypukłej, listki i kwiatki są zupełnie płaskie, bez podłożenia, a ścieg po trzy nitki przeciągnięte płasko, w równych odstępach, jak przy cerowaniu przewlekany, nadzwyczaj szybko postępuje.

Strojna peleryna wizytowa, oraz kapelusz.

Rycina Nr 1.

Elegancka ta peleryna z jasno-szarej jedwabnej materyi, wykończona na blado-różowej podszewce i zahaftowana dżetami i jedwabnym, sznureczkiem, oszyta jest trzema plisowaniami falbanami z jasno-perłowej, jedwabnej gazy. Ostatnia falbana w kształcie żaboty przeciąga się wzdłuż przodu i stanowi podszycie wysokiego, odstającego kołnierza. Falbany zakończone są riuszą z tegoż samego materiału. Brzeg pelerynki oszyty jest plisowaną, szarą wstążeczką, która też tworzy rodzaj płaskiego kołnierza. Kapelusz w formie toczka z tiulu, pokrytego pailletkami, rondko zrobione ma z fantazyjnej różowej słomy. Przybranie stanowią: czarna atlasowa wstążka, wążki długie pióra i dosyć duża klamra.

Kapelusz, przybrany różami, nowe fasony kapeluszków, egrety i woalki.

Rycina Nr 2-9.

Bardzo ładne zestawienie cieniów ponsowego koloru przedstawia kapelusz Nr 2. Kapelusz z brudno-ponsowej słomy, przybrany jest wieńcem róż do cieniu, oraz kokardą różową z gazy, która może być zastąpiona kokardą czarną. Kapelusz następny Nr 3, z jasnej słomy, pomieszanej z ciemną, brzeg ma w ten sposób ułożony, że nie wymaga żadnego z przodu przybrania. Nr 4 przedstawia kapelusik z fantazyjnej słomy z fałdowaną główką, rondko z tyłu przygięte, podniesione jest wysoko. Oryginalnym jest kapelusik Nr 9, z rondem ponsowym w czarne pasy. Rondo z przodu szerokie, z tyłu tworzy kilka fałd. Dwie ładne egrety, jedna z długich, czarnych, czaplich piór, druga z szarych do cieniu, bardzo są do eleganckich kapeluszków używane. Obydwie woalki, jedna z tiulu, druga z delikatnej siateczki mają sznelowe muszki.

Krótki paltocik dla chłopca od 8-9 lat.

Rycina Nr 11. (Krój odwrotna strona tablicy Nr XI, fig. 92-95).

Z piaskowego, dropiatego kortu paltocik, na flanelowej w kraty podszewce, opatrzony kieszonkami, zapięty na dobrane do materiału rogo-we guziki, jak rycina nasza wskazuje, ostębnowany przy brzegach, może być także oszyty odpowiednią tasie-meczką.

Suknia, przybrana aplikacją z wstążeczki, dla panienki od 15-16 lat.

Rycina Nr 12. (Krój pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 66-78).

Przybranie tej ładnej i wdzięcznej sukienki z jasnego kaszmiru, stano-

wią: karczek i bufki u rękawów z marszczonego taffetas, naszyte plecionką, oraz aplikacja z wstążeczki. Aplikacja ta zdobi cały przód, plecy, rękawy w górze i przy ręku. Spódnica gładka, oszyta jest wysoką, z przodu w ząb podniesioną falbaną, zakończoną w górze pliską z taffetas. Ukos z tegoż materiału, zmarszczony i zapięty z tyłu zastępuje pasek.

Kostium z kaftanikiem dla panienki od 14-15 lat.

Rycina Nr 13. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 85-91).

Kostium ten z ponsowego szewiotu, wykonany bez podszewki, składa się ze spódnicy i luźnego kaftanika, dopełniony zaś jest bluzką w dowolnym kolorze i z dowolnego materiału. Przybranie stanowią: kilkakrotna stębnówka czarnym jedwabiem, wokoło spódniczki, na wysokości 8-mio-centymetrowego obręba, na rękawach i przy brzegu kaftanika, oraz mały szalowy kołnierzyk, wyłożony czarnym aksamitem. Kaftanik spięty jest na jeden tylko, duży, perłowy, lub fantazyjny guzik.

Spodnie nowe ubranie (połączenie majtek z koszulą i przypinaną spódnicą).

Rycina Nr 14 i 15. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 57-65).

Nowego rodzaju koszula, połączona z majtkami może być równie dobrze wykonana z płótna,

batystu, cienkiego perkalu i z jedwabnego fularu, lub taffetas. Wycięcie, rękawy, oraz dół majtek, oszyte są haftem, przewleczonym wstążeczką. Na lato, koszula taka jest nader przyjemnym i praktycznym ubraniem.

Nowego też rodzaju majtki (ryc. 15), najpraktyczniejsze są z czarnego taffetas. Do karczka, w który są wszyte, przymocowywa się płaskie guziczki, do tych zaś dopasowywa się dziurki w pasku spódniczki. Przy dzisiejszych, niezmiernie obcisłych w górze sukniach, podobne połączenie pozwala uniknąć grubości paska lub karczka, do jakiego zazwyczaj spódnica bywa przyszywana. Wskazana tu przez nas spódnica z czarnej materyi, wysoką wokoło falbanę pokrytą ma szeregiem drobnych, marszczonych falbaneczek, z których każda zakończona jest niebieską, atlasową wypustką.

Peleryna dla starszej osoby.

Rycina Nr 16. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 15-20).

Peleryna z czarnego sukna, zakończona jest bardzo mało rzucającą się, okrągło krajaną falbaną, która zwięzając się, wznosi się z przodu aż do szyi. Przybranie stanowi desień, wyszyty na pelerynie, przystębnowaną atlasową wstążeczką. Odstający kołnier, wyszyty jest wewnątrz marszczonym atlasem, przy brzegu zaś gazową riuszką. Kołnierzyk z przodu spina kokarda z długimi końcami, z wstążki atlasowej, naszytej przy brzegach i u dołu gazową riuszką.

Śliniaczki ze szlakiem haftowanym na tiulu.

Rycina Nr 17 i 18 (do ryc. Nr 14 i 15 w Bl. Nr 16). Deseń i krój odwr. strona tablicy fig. 111 i 112.

Obydwa śliniaczki z białej piki, oszyte są ślicznym haftem na tiulu, który z małą zmianą zastoso- wany być może do chusteczek. Haft ten jest w części aplikacją z batystu. Deseń podług fig. 111 i 112 przerysowywa się na kalkę, następnie, jak zawsze przy takich robotach, przyfastrygowywa do materiału, to jest do tiulu. Pod kalką przyfastrygowywa się batyst i kiedy już brzegi figur deseni zostaną wykończone, kalka się usuwa a batyst wycina.

Letnie ubrania dla dziewczynek od 6-11 lat.

Rycina Nr 19, 20, 24 i 25.

Nr 19. Sukienka ponsowa z wełnianego materiału, przybrana żółtawą gipiurą, stosowna dla dziewczynki 8-9 letniej. Spódniczka gładka, pasek z ponsowej, jedwabnej, marszczonej materyi, bluzka zapięta z tyłu, przybrana w rodzaju kołnierza falbanką z gipiury, oraz naszytym z gipiurowych wstawek, które też przybierają przy ręku rękawek. Kapelusik biały, oszyty riuszką z wążkiej wstążeczki przybiera wstążka biała, związana na dużą kokardę.

Nr 20. Sukienka z zefiru w kratę. Spódniczka gładka (cloche), bluzka z tyłu zapięta, przyszyta do karczka z marszczonego batystu i valencienski. Przybranie bluzki stanowi, wykładany wokoło karczka, koronkowy kołnier. Pasek zastępuje biała, atlasowa wstążka, związana z tyłu na kokardę z długimi końcami. Zgrabny kapelusik, wykonany jest z plisowanego i haftem oszytego batystu.

Nr 22. Sukienka dla dziewczynki od 9 do 10 lat, składa się ze spódniczki (cloche), przybranej kilkoma zakładkami i z boku zapinanej bluzki. Bluzka otwarta nieco przy szyi, podłożona jest napiersznikiem z plisowanego, białego batystu. Wyłogi zastępuje gipiurowy, leżący kołnierzyk. Szyję opasuje czarny aksamit, który także użyty jest na pasek. Na sukienkę użyty jest czerwony taffetas.

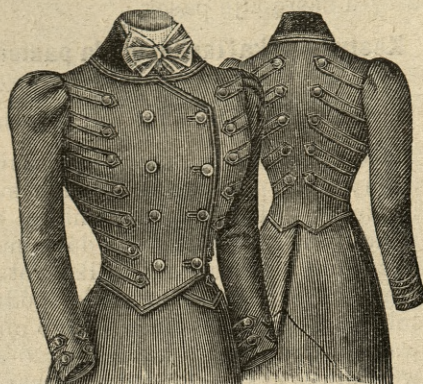


Nr 1. Strojna peleryna wizytowa, oraz kapelusz.



Nr 2—9. Kapelusze, przybrany różami, nowe tasony kapeluszy, egrety i woalki.

perłowych guzików, płaska czapeczka z tegoż samego, co ubranko materiału, dopełnia całości.
Nr 26, przedstawia ubranie dla chłopca od 12 do 13 lat, wykonane z granatowego szewiotu lub kamgarnu. Spodeńki długie. Otwarta na białej kamizelce żakietka, niewielkie wyłogi przykryte ma dużym, białym kołnierzem, który dowolnie może być przypinany lub nie. Prosty kapelusik z jasnej słomki opasuje biała wstążka.



Nr 10. Przód i plecy do ryc. Nr 11 w Bl. Nr 16.



Nr 16. Peleryna dla starszej osoby. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 15—20).

Praktyczne i ładne ubranko dla chłopczyka od 9 — 10 lat przedstawia ryc. Nr 26. Granatowa, angielska satyna, użyta jest na krótkie, ściągnięte majteczki, z białej zaś satyny zrobioną jest marynarska bluzka, przybrana dużym granatowym kołnierzem. Kołnierz i mankietki, także z granatowej satyny, naszyte są białą taśmą. Kapelusik z dużym rondem, opasany jest granatową wstążką.

Nr 27. Ubranie dla chłopczyka od 5—6 lat z materiału wełnianego w kolorze jasno beże. Majteczki krótkie, ściągnięte, bluzka długa, przytrzymana skórzanym paskiem. Bluzkę slicznie przybiera duży, wykładany kołnierz z batystu, oszyty plisowaną falbaneczką, odpowiednie do kołnierza mankietki przybierają rękawy. Czapczkę z jasnej, szkockiej materii opasuje szkocka wstążka, związana z lewej strony na kokardę.

Poduszka na meble ogrodowe.

Rycina Nr 29 i 31. (Deseń pierw. str. tabl. fig. 56).

Poduszka z angielskiego płótna 46 ctm. długa, 33 ctm. szer., ozdobiona łatwym haftem, przedstawiającym gałęz z pomarańczami, bardzo ładnym

Nr 24. Sukienka dla dziewczynki 11-to letniej, z wełnianego muślinu, białego w różowe paski. Spódniczka gładka, bluzka przyszyta do okrągłego karczka z batystu i haftu, oszytego wokoło podwójną, haftowaną falbaną, tworzącą rodzaj kołnierza i spadającą na małe bufki przy rękawach. W stanie związana różową, atlasową szarfą. Kapelusik z różowej słomki, przybrany jest białą gazą w różowe paski, rondko zaś prócz lekko namarszczanej falbany z powyższej gazy, naszyte jest falbanką z gazy białej.

Nr 25. Sukienka z batystu w kratę niebieską i białą. Spódniczka oszyta falbaną, zakończoną valencięnką. Bluzka, przybrana kołnierzem okrągłym z białego batystu i valencięki, przewiązana w stanie różową, atlasową szarfą.

Ubrania dla chłopczyków od 5—13 lat.

Rycina Nr 21, 23, 26 i 27.

Nr 21. Ubranie z białego, angielskiego płótna, stosowne dla chłopca od 10—11 lat, składa się z krótkich, ściągniętych majteczek, przytrzymanych w stanie skórzanym paskiem, a połączonych z kamizelką bez rękawów, ułożoną w fałdki, oraz z kurteczki, przybranej dużym, marynarskim kołnierzem, kurteczka, opatrzona kieszonkami, ozdobiona jest dwoma rzędami



Nr 11. Paltocik dla chłopczyka od 8—9 lat. (Krój odwr. str. tab. Nr XI, fig. 92—95).



Nr 14 i 15. Połączone majtki z koszulą i majtki z przypinaną spódnicą. (Krój odwrotna strona tablicy Nr VII, fig. 57—65).



Nr 12. Suknia, przybrana aplikacją z wstążki dla panięki od 15—16 lat. (Krój i plecy odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 66—78).

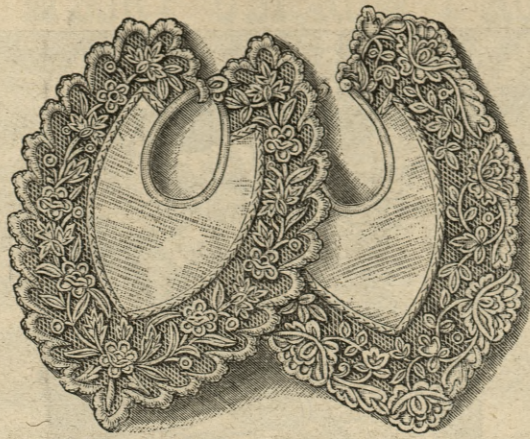
Nr 13. Kostium z kaftanikiem dla panięki od 14—15 lat. (Krój odwrotna strona tablicy Nr X, fig. 85—91).

dopełnieniem jest do lekkich, ogrodowych mebli. Zamiast sznura i kwastów użyta jest jako oszycie poduszki, bardzo dziś do wszystkiego modna plisowana falbanka. Wskazana tutaj ma 10 ctm. szerokości i 2 centymetrowy obręb, wykonany krzyżkowymi ściągami, wyszytymi jasną bawełną, lub jedwabiem. Deseń również może być wykonany bawełną lśniącą, albo jedwabiami, pomarańcze haftowane są w 4-ch cieniach, — liście, w kolorze zielonym, — łodygi, brązowym, — kwiaty, blado-żółtym i białym.

Serwetka z łatwym haftem i tiulową obwódką.

Rycina Nr 30. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 113).

Na serwetce 50 ctm. w kwadrat z zielonego atlasu Liberty, nadzwyczaj efektownie wygląda haftowana czarnym jedwabiem gałązka kwiatu dyclytra (serduszka). Nietrudną tę robotę pod-



Nr 17 i 18 Śliniaczki ze szlakiem haftowanym na tiulu (do ryc. Nr 14 i 15 w Bl Nr 16). Deseń i krój odwrotna strona tablicy fig. 111 i 112.

Suknia z alpaki w deseń, przybrana gipiurową, zębatą wstawką.

Rycina Nr 33. (Krój pierwsza strona tablicy Nr IV, fig. 21—29).

Suknia z niebieskiej alpaki w deseń, składa się ze spódnicy z tiuniką i obcisłego, krótkiego staniczka, przybranego kamizelką z białego crêpe chiffon, ułożoną w drobne zakładki i spiętą w pośrodku, w rodzaju chusteczki. Brzegi tiuniki, jak również brzegi przodu stanika, wycięte są w zęby i oszyte zastosowanym do tychże szlaczkiem z gipiurowej wstawki. Wycięcie przy szyi, które tworzy kamizelkę, podłożone jest napierśnikiem, zakończonym wysokim kołnierzem z niebieskiej materii jedwabnej, pokrytej gipiurą. Wąskie, gładkie rękawy, wycięte są przy rękę w ząb i nałożone gipiurową wstawką. Dół stanika zakończy wążutka, atlasowa wypustka.



Nr 21, 23, 26 i 27. Ubrania dla chłopczyków od 5—13 lat.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

SER ZE SŁODKIEGO MLEKA.

Do pięciu garnce mleka prosto od udoju dodać 3 łyżki podpuszczki, zmieszać, a jak się mleko zetnie, co powinno nastąpić w pół godziny, włożyć twaróg do worka pod prasę na 18 godzin. Po tym czasie wyjąć ser z worka, zanurzyć go w słonej wodzie przez całą dobę, wyjąć i obsuszyć.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa z jajami.
2. Ryba w majonezie.
3. Boeuf à la Rossini.
4. Szparagi.
5. Indyk pieczony z kompotem.
6. Lody śmietankowe.

nosi bardzo aplikowana obwódka z czarnego tiulu, oraz pasek z tegoż tiulu, przytrzymujący gałązkę. Obwódka umieszczona jest tuż przy obrębie, mającym 7 ctm. szerokości. Deseń przerysowuje się podług fig. 113. Serwetka powinna być podłożona podszewką.

Ranne ubranie dla młodych kobiet.

Rycina Nr 32. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8—14).

Strojne to ubranie z białej flaneli, przybrane jest kołnierzem, epoletami i mankietem z zielonego taffetas, pokrytymi piękną gipiurą i oszytymi podwójną, plisowaną falbanką z atlasowej, zielonej, 3 ctm. szerokiej wstążki. Taką wstążką, 6 ctm. szeroka, przszyta pod fałdą Watteau, przytrzymuje przody i tu chowa się pod kołnierzem. Taż sama wstążka, związana na kokardę, spina kołnierzyk stojący i splywa długimi końcami aż do kolan, druga kokardka przypięta jest na kołnierzyku z tyłu. Szlafroczek ten w modelu wykonany był na fularowej zielonej podszewce.

Nr 19, 20, 22, 24 i 25.

Letnie ubrania dla dziewczynek od 6—11 lat.



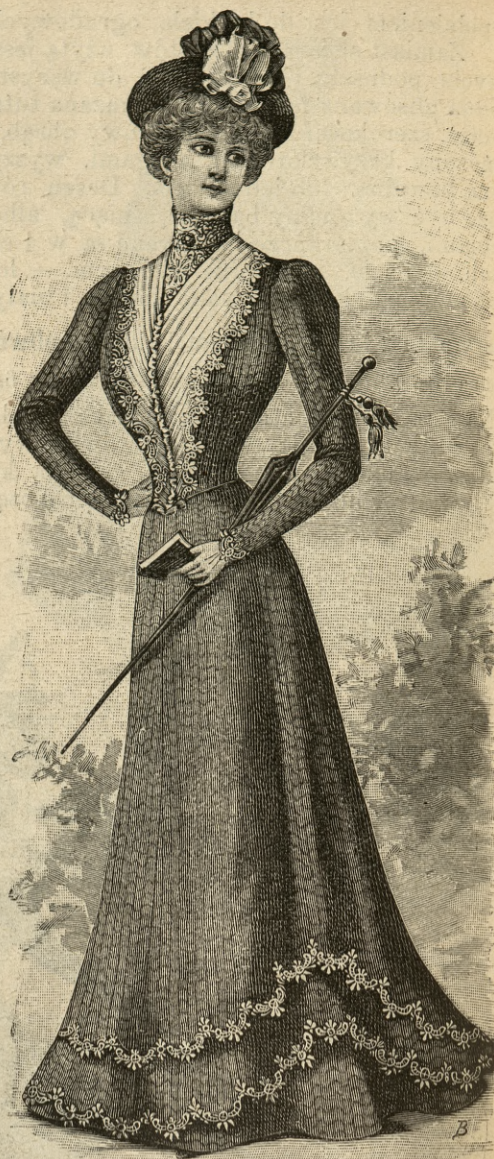
Nr 32. Ranne ubranie dla młodej osoby.
(Rysunek przodu i krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 8-14).



Nr 30. Serwetka z łatwym haftem i tiulową obwódką.
(Deseń odwrotna strona tablicy fig. 113).



Nr 31. Część haftu do ryciny Nr 29.
($\frac{3}{4}$ wielkości oryginalnej).



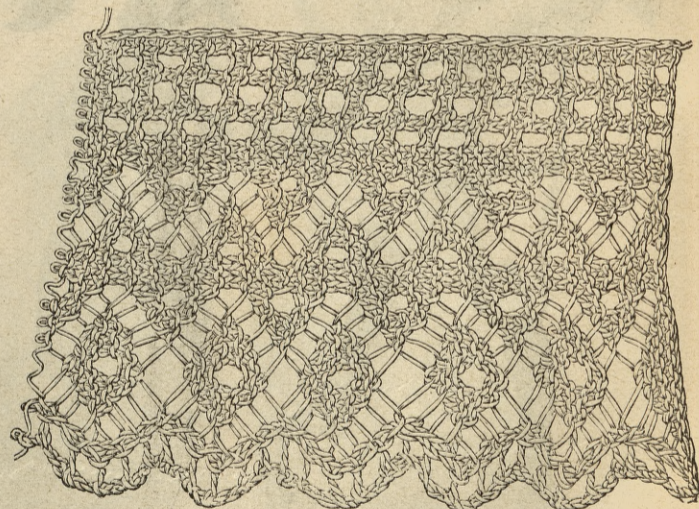
Nr 33. Suknia z alpaki w aeseń, przybrana
gipiurowym, zębatym szlaczkiem.
(Krój pierwsza strona tablicy Nr IV, fig. 21
do 29).



Nr 29. Poduszka, stosowna do mebli ogrodowych.
(do ryc. Nr 31). Deseń pierwsza strona tablicy fig. 56.

U w a g a.

Tablica krojów, obja-
śniająca wzory ubio-
rów i robót w dzi-
siejszym numerze, do-
łączoną była do ze-
szłego numeru „Blusz-
czu.“



Nr 28. Koronka, robiona na drutach. Wielkość
naturalna.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

otrzymał na sezon wiosenny i letni:

Płócienka, Satynki, Batysty, Dryliszki na ubrania męskie, dziecinne i liberyjue,
Zefiry, Kretony, Firanki, Dywany, Portyery, Materyały meblowe.

Gotowa bielizna męska i damska.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

PRÓBY I CENNIKI ODWROTNĄ POCZTĄ FRANCO.

Pończochy
i
skarpetki
czarne
i fantazyjne.